

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 26 (1762) 28 czerwca – 4 lipca 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



**Księża Führera,
księża Prezesa**
str. 10-11

Och, Karol!
str. 10

**ZWIAZEK
PARTNERSKI**



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

WOJNA DOMOWA

Partia Razem miała wyjść z koalicji z Nową Lewicą, ale jednak nie wyszła. Choć mówi, że może wyjść, jeśli Nowa Lewica nie będzie bardziej lewicowa w rządzeniu. Nowa Lewica focha się na Razem, acz czyni to w formie pasywnej agresji. Mistrzostwo w tej technice osiągnął Krzysztof Gawkowski, który ogłosił – w TVN24, ni mniej, ni więcej, żeby cała Polska słyszała – że jest gotów wyjść z rządu i ustąpić Zandbergowi stanowisko wicepremiera, jak Adrian myśli, że sobie lepiej poradzi. Adrian mówi, że bardzo chętnie, ale pod warunkiem renegotjacji umowy koalicyjnej, bo obecna nie gwarantuje realizacji najważniejszych lewicowych postulatów. Merytorycznie ma rację, ale i tak brzmi to jak wykręt. Jeśli o nas chodzi, serdecznie namawiamy Adriana Zandberga do zostania zastępcą Donalda Tuska. Chcielibyśmy to zobaczyć.

Drugi kłopot, z jakim mierzy się lewica, dotyczy związków partnerskich. Sprawa zmierza ponoć do pozytywnego finału, a ministra Kotuła pielgrzymuje po sejmie i przekonuje koalicyjną konserwę, że nie ma nic złego na myśli. Konserwa, z PSL i od Hołowni, niby zapewnia, że ona tylko w trosce o dobro dzieci, żeby pedałstwo ich nie dopadło w swoje łapy. Ale prawdziwa intencja przebija gdzieniedzie jak gówno spod śniegu na wiosnę: posłanka Pasławska, uchodząca za postępowe skrzydło ludowców, bardzo się na przykład upiera, żeby związek taki był zawierany u notariusza i tylko rejestrowany w urzędzie stanu cywilnego. „Nie chcecie dopuścić, żeby to była uroczystość taka, żeby móc zaprosić gości, żeby dawało to radość?” – zapytał dziennikarz. „Bo nie jest to ślub. Musimy uszanować fakt, że część społeczeństwa oczekuje, iż nie będzie to zrównane z małżeństwem”. No pewnie. Żadnej radości dla zboków!

Prezydent Duda polecał do Chin i bardzo się tym przejął. Bo nie dość, że załatwił regionalizację drobiu (nie, żebyśmy wiedzieli, co to jest, ale bardzo był z tego dumny), ale także zniesienie wiz dla Polaków na dwutygodniowe pobyty. „Co raz więcej naszych rodaków jest już w takiej sytuacji materialnej, że mogą sobie pozwolić na różne dalekie wyprawy. Jeżeli ktoś takie wyprawy dalekie lubi, realizuje, ma takie możliwości, to zachęcam również do rozważenia podróży do Chin, bo jest to niezwykle kraj i kryje w sobie wiele wspólnych tajemnic, i wiele, wiele niezwykłych miejsc, jeżeli chodzi o walory historyczne i przyrodnicze” – tokowała Głowa Państwa, która najwyraźniej szykuje się do przyszłej kariery w charakterze reprezentanta biura podróży. Dwutygodniowa wycieczka do Chin dla czteroosobowej rodziny to jakieś 45 tysięcy złotych. Z 500+ chwilę trzeba będzie odkładać.

Dziura w NFZ może wynieść między 75 a 160 mld zł – czytamy w raporcie „Luka finansowa systemu ochrony zdrowia w Polsce, perspektywa 2025–2027”. Pacjenci czekają na lekarzy, szpitale czekają na pieniądze, zadłużenie osiąga stan krytyczny, system się sypie jak trociny z pluszowego misia. „A w tym samym czasie lewica domaga się obniżenia składki zdrowotnej” – ogłosił w Polsacie red. Gugafa. Mamy do tej lewicy wiele zastrzeżeń – ale oszczerstwom będziemy stawiać odpór. O to, żeby prezes zarządu na kontrakcie menedżerskim płacił na NFZ mniej niż nauczycielka na etacie, walczy Polska 2050. Lewica przygotowuje projekt podatku zdrowotnego, który opiera się na rewolucyjnym pomysle, żeby ci, co więcej zarabiają, więcej płacili. Ponieważ jednak ci, co zarabiają więcej, głosują na PO – na jego wprowadzenie raczej nie liczymy.

Donald Tusk znowu zapadł na syndrom szeryfa. „Kiedy 10 dni temu poprosiłem o spotkanie prokuratora generalnego, minister zdrowia i szefów policji, miałem tylko jeden komunikat: musicie ich dopaść. I ta akcja, kiedy zatrzymano pięć osób, w tym oślawionego „Ducha” jest zaledwie początkiem tego wielkiego pościgu” – głosił premier na TikToku w wideo zatytułowanym „Dopadniemy ich”. „Nikt, kto w Polsce zajmuje się tym przeklętym biznesem, nie pozostanie bezpieczny. Gwarantuję wam”. Sprawowanie stanowiska premiera regularnie wywołuje u Tuska epizody szeryfizmu: wystarczy przypomnieć wojnę z kibolami i kastrowanie pedofilów. Tym razem prezes Rady Ministrów osobiście rozprawi się z handlarzami fantanylem. Przez sześć miesięcy 2024 r. Główny Inspektorat Sanitarny zanotował 48 przypadków zatrucia substancją – z czego cztery zgony. Średnio co roku w Polsce notuje się 1000 przypadków zatrucia grzybami – ale wyrażanie sromotnikowi na TikToku nie podkreślałoby męskości Donalda.

Z lotniska Katowice Muchowiec śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego nielegalnie wystartował do chorego, którego trzeba było pilnie przetransportować do szpitala, ale wrócić do bazy już nie mógł, albowiem zarządca lotniska zamknął przestrzeń powietrzną. Zamknął, gdyż na lotnisku odbywała się impreza i przy poprzednim starcie śmigłowca LPR połamały się parasole i wywróciło stanowisko z frytkami. „Ja widziałem na własne oczy, jak ludzie łapali parasole, w tym momencie pan dyrektor lotniska podjął jedyną słuszną decyzję” – tłumaczył uziemienie śmigłowca pogotowia organizator imprezy Adam Rostalski. Nie byłoby to godne szczególnej uwagi, gdyby nie fakt, iż impreza nazywała się „American Cars Mania” i była zlotem samochodów z USA. Jak to się dzieje, że Amerykanie potrafili okazywać kolonialną arogancję, nawet jak są nieobecni?

Projekt dekryminalizacji pomocnictwa w aborcji do 12. tygodnia ciąży przeszedł przez komisję nadzwyczajną – co Anna Maria Zukowska okrzyknęła wydarzeniem przełomowym i krokiem milowym. Nie jesteśmy aż tak optymistycznie nastawieni co do przyszłości tej nowelizacji, ale cieszymy się jej szczęściem.

AWŁ

Z URNY URBANA

Niechęć Urbana do sportu była powszechnie znana, niechęć do stadnego przeżywania sportowych emocji – również. Przypominamy więc jeszcze felieton z czerwca 2012 r., z czasu Euro 2012 rozgrywanego w Polsce i Ukrainie, korzystając z okoliczności, że piłka nożna ma akurat znów okres.

Święta piłko



W szkole brałem udział w zawodach płucia na odległość. Szkoda, że taka piękna w swej prostocie dyscyplina nie zrobiła kariery jako tak powszechna religia jak piłka nożna. Z ulgą witam koniec czerwca, miesiąca Euro 2012, kiedy byłem wykluczony i zakluczony. Nie mogłem włączyć telewizora ani otwierać gazety. Umarło życia towarzyskie. W pracy na mój widok milkli ludzie, bo jestem szefem, a oni o piłce. Niezdrowo jest zaś szefa drażnić, podobnie jak wściekłego psa.

W kawiarni nie można osiąść, bo albo mówią o zawodach, albo na ścianie ludziki biegają po ekranie jak wszyscy gonięni przez szarą maść. Przejedźność Warszawy trzeba było badać przed wyjściem z domu. Grasały hordy kibiców, narodem targali napięte emocje, a kto ich nie podzielał lub starał się nie zauważać, był w takiej sytuacji jak oficer ONZ wpuszczony w walki plemiennych Hutu i Tutsi – zimnym draniem, bratem Breivika.

Przedmiot niewielki, okrągły, słabej urody, puszczony w ruch nabiera więc religijnej mocy niczym hostia.

To wszystko dowodzi tego, że wojny i ich zastępcze formy sportowe mogą w ciemny kąt odrzucić inną religię, w której bogiem

nie jest młody mężczyzna goniący okrągły przedmiot.

Kiedy akurat nie ma Euro 2012, nad Polakami dominuje Bóg, który istniał zawsze, funkcjonuje poza czasem i przestrzenią. Wyobraża go starzec z brodą, co zresztą sugeruje schyłkowość tego bóstwa. Ma on współnika imieniem Duch, znanego pod postacią ptaka. We wczesnej starożytności Bóg był bezdzietny, ale później się rozmnożył. Za matkę przybrał Ziemiankę, do tego Żydówkę i mężatkę, a to grzech. Nie zapłodnił jej jednak tak jak to ludziom zaleca i jak inni bogowie praktykowali, np. Zeus. Wspólnik Duch chuchnął zamiast dmuchnąć kobietę i pani Józefowa urodziła jako dziewczica metodą pozapłciową zbliżoną do dzisiejszego in vitro.

Tak wyrafinowany Bóg nie stworzył dla syna wozu terenowego ani nawet wielbłąda, lecz zachęcił go do joggingu po pustyni. Następnie zlecił okrutne pomęczenie dziecka i wycofał je z zawodu nawracania Żydów. Odtąd we trzech rządzą z nieba światem, a żona-nieżona Boga im pomaga. Syn Boga, także Bóg, pozostał zaś na ziemi tylko w formie małego krążka ciasta. Ludzie w to wierzą dopóty, dopóki nie zaczną się gry w piłkę.

Dodać trzeba, że te boskie poczynania uzupełniała obfita twórczość literacka. Bóg dyktował swoje wspomnienia, a syn je uzupełniał. Bosko piękna i mądra piewica polska Doda (pseudonim oznacza wartość dodaną) skazana została przez sąd państwowy za wyrażenie przepuszczenia, że autor Pisma Świętego sporządził je najarany i napity, co w jej rozumieniu oznacza natchniony. Jednak zdaniem sądu czytelników dzieł obraża sugestią, że ich ulubieni pisarze bywali nietrzeźwi oraz upaleni.

Zarysowane wierzenia i uczucia sezonowo zastępuje wiara w to, że jeśli osoby wynajęte przez dany naród kopną piłkę w bramkę innego narodu, to naród wykopujący doznaje wniebowstąpienia. Naród, w którego imieniu kopnięto, sam staje się kopnięty i skacze, ryczy rytualnie, wznosi swoje totemy i bije cudzoziemców.

Przybysz z innej planety mógłby piłkomanie uznać za idiotyczną, jeśli ufoludek nie jest rzymskim katolikiem. Jeżeli jest, został przyuczony do absurdałnych wierzeń i emocji wzmaganych przez pobyt w tłumie wiernych. Który sąd – ja pytam i czekam – pierwszy skaże za obrazę uczuć religijnych należnych piłce futbolowej?

URBAN



PiS chce zmienić nazwę partii. Prosimy o pomysły.

Facebook

Bartek Orzeł: PiS bis

Bartek Orzeł:

Główne
Ugrupowanie
Wiernych
Narodowowców
Ojczyźnie.

Jarosław Soborski: PZPR – Partia Zawsze Popiera-
jąca Rosję.

Krzysiek Łukomski:

Chrześcijańska
Unia
Jedności
Konserwatywnych
Idealów.

Krzysztof Krzysztof: Miłość i Rozkosz. MiR.

Arkadiusz Tomaszewski: Prezes i Spółka.

Magdalena Jankowska: Przepraszamy i Spierda-
lamy.

Tomasz Oko: PBŻT – Partia Bez Żadnego Trybu.

Waldemar Szul: Polska Zjednoczona Prawica Robot-
nicza.

Jan Dariusz Wójcik: ETP – Ekipa Totalnych Pojebów.

Tomasz Oko: Oryginalnie: PO – Podrabiańcy Orbána.

Maciej Dadej: Pierdolnięci i Stuknięci.

Forum

Dykson11: Prawie Sprawiedliwość.

PRASA ŚNIADANIOWA

● NIK składa zawiadomienie do prokuratury w sprawie **przekopu Mierzei Wiślanej**. Szybciej będzie wysłać tam jedną rodzinę bobrów.

● **Bp Artur Ważny** powołał dwie komisje mające wyjaśnić skandale z diecezji sosnowieckiej. Jedna będzie badać anal, druga oral.

● **Andrzejowi Dudzie** przypomniły się czasy, kiedy religia wyrzucana była ze szkół przez komunistów. Minus 11-letni wówczas Duda bardzo to przeżył.

● Polacy mają ponad **417 mln zł długów** za jazdę bez biletu. Do odpowiedzialności powinna zostać pociągnięta Maryla Rodowicz.

● **Radio Maryja** informuje, że podczas podróży do Mekki zmarło 1300 osób. Dlatego warto jeździć do Częstochowy.

● **Jan Śpiewak** nie musi przeproszać Janusza Palikota za nazwanie go alkokatusem. Akurat alkokatus brzmi jak wspaniała nazwa niedrogiej goarzałki.

MARTA M.

POLSKA DLA POLAKÓW!



Rys. TOMASZ WATIER

W exposé z 2007 r. miłośnik haratania w gałę Donald Tusk zadeklarował, że w każdej polskiej gminie powstanie kompleks boisk. „Jeśli co setne dziecko dzięki tym boiskom będzie profesjonalnym piłkarzem, to będziemy mieli silną reprezentację narodową” – rzucił premier pół roku później podczas wizytowania budowy jednego z pierwszych Orlików.

Miliony złotych zostały wydane, a silnej reprezentacji nie było ani 10 lat później, ani 15. A dziś jest taka, która najpierw przegrywa z Mołdawią, a potem jako pierwsza odpada z Mistrzostw Europy.

Nie przeszkodziło to jednak aktualnemu ministrowi sportu Sławomirowi Nitrasowi odgrzać w marcu starego kotleta. „Orliki, które zostały wybudowane ponad dekadę temu, stały się kluczowym elementem krajobrazu sportowego w Polsce” – ogłosił i zapowiedział nowy program budowy kompleksów sportowych Orlik. W 2024 r. w zieloną murawę rząd wrzuci 225 mln zł.

Tusk budowniczy

W 2007 r. piłkarski plan Tuska zakładał, że jak gmina wyłoży 300 tys. zł z kawałkiem, to do reszty pospółu dorzuci się Ministerstwo Sportu i urząd marszałkowski. Inwestycja miała się mieścić w milionie złotych.

Kwota taka za nowoczesny kompleks sportowy wyglądała ponętnie. Na każdym Orliku miały być dwa boiska. Piłkarskie 30 x 62 m i wielofunkcyjne 19,10 x 32,10 m. Boisko do piłki nożnej pokrywać miała sztuczna trawa, wielofunkcyjne miało mieć nawierzchnię syntetyczną. Obok tego miało stanąć pomieszczenie gospodarcze, a w nim pokój animatora, szatnie, sanitariaty i magazynek na sprzęt. Kompleksy miały być też ogrodzone i wyposażone w oświetlenie, aby można było z nich korzystać wieczorami.

Plany Orlika każda gmina dostawała z ministerstwa, a jak chciała coś zmienić, to wpędzała się w papierologiczno-biurokratyczny magiel i z reguły wychodziła zeń bez boisk.

Akcja pod kryptonimem „Moje boisko – Orlik 2012”, jak wskazywała nazwa, została zakończona w roku 2012. Wybudowano 2604 Orliki. Ponieważ gmin jest 2478, założony plan wykonano z nadstatkiem. Statystycznie. Faktycznie zaś wyszło, że ok. 800 gmin kompleksu boiskowego nie miało. Znaczy się, co trzecia.

W 2009 r. na Orliki rzuciła się Najwyższa Izba Kontroli. Inspektorom wyszło, że na 31 skontrolowanych gmin tylko dwie wybudowały boiska bez zarzutu. We wszystkich pozostałych stwierdzono nieprawidłowości.

W 12 gminach kontrolerzy stwierdzili braki w wyposażeniu, usterki, zamianę materiałów i przypadki niesolidnego wykonania projektu. Najczęściej powtarzającą się nieprawidłowością było oszczędzanie na tzw. piłkochwytach. Zamiast instalować je przed ogrodzeniem, wykonawcy ogrodzenie nieco podwyższali, aby następnie twierdzić, że dzięki temu pełni ono podwójną funkcję. W Bychawie kontrolerzy stwierdzili poobrywane mocowania siatek w bramkach, niebezpiecznie wystające śruby i plastikowe, zamiast metalowych, mocowania w ogrodzeniu, które zresztą szybko popękały. W Granowie wykonawca nie zainstalował lamp i wentylatorów, a z zamówionych 180 mkw. piłkochwyłów ustawił tylko 60 mkw. W Klimontowie z kolei wybudowano boisko o 15 mkw. mniejsze niż zakładały to plany i specyfikacja.

Co prawda w 25 proc. skontrolowanych gmin plany zaplecza Orlików były niedostosowane do potrzeb osób niepełnosprawnych, ale przecież nie chodziło o kadry paraolimpijskie, ale o pełnosprawnych kopaczy piłki.

Kontrolerom NIK nie umknęło 15 lat temu i to, że władze gmin, mając swoich krewnych i znajomych wójta, lekcewały obowiązki zatrudniania wykwalifikowanego trenera. Część gmin powierzała dzieci osobom nieuprawnionym, np. konserwatorom lub stażystom. Inne zatrudniały tylko pojedynczych animatorów – w przypadku ich urlopu lub choroby boiska stoją niewykorzystane przez wiele tygodni. Tak jak w Grudziądzu, gdzie z powodu braku moderatora Orlik przez całe wakacje był nieużywany, a młodzież, zamiast grać w piłkę, oglądała bramę zamkniętą na kłódkę.

Największe cyrki wyszły z ceną miliona złotych. Na 29 Orlików wybudowanych w wariacie podstawowym zaledwie w czterech przypadkach gminy zmieściły się w przedziale szacowanym przez ministerstwo. Wiele samorządów wydało



A przecież mieliśmy być mistrzami świata w piłce nożnej...



nawet dwa razy więcej pieniędzy niż pierwotnie zakładano. Zamiast szacowanych 333 tys. zł, gminy rekordzistki (Szemudy, Chęciny, Mikołajki Pomorskie) do jednego boiska dołożyły ponad 1 mln zł każda.

Czy po tej wylizance zdziwi kogoś, że NIK oceniła program Orlik 2012 pozytywnie? A skoro oceniła, to co musiałoby się dziać, by kontrolerzy zaczęli bić na alarm?

Pikujące Orliki

Najciekawsze, że gminom, które przystępowały w tamtym czasie do budowania Orlików, w kalkulacjach finansowych wychodziło coś dziwnego. Inwestycja za nic nie chciała się zamknąć w tuskowym milionie złotych. Regułą było to, że realny koszt Orlika był wyższy o 400–500 tys. zł. Reguły ministerialne były jednak twarde. Gmina mogła dostać nie więcej niż 666 tys. zł dotacji. Pewnie te satanistyczne cyfry sprawiły, że wiele samorządów po prostu Orliki sobie odpuściło.

Innym po przekalkulowaniu wychodziło, że śmiało można zrezygnować z oświetlenia, ogrodzenia, czy kontenerów szatniowych. Złazcza że boiska te dziwnym trafem niemal zawsze były budowane tuż przy szkołach, w których szatni nie brakuje.

Kolejne kilkadziesiąt tysięcy złotych dawało się zaoszczędzić na przygotowaniu stosownej dokumentacji. W ramach obowiązków służbowych mógł je wykonać gminny architekt.

Poza tym oszczędzano na podatku VAT, który, jak się okazywało, był wyższy od dotacji z Ministerstwa Sportu.

Efekty były mierzalne już po kilku miesiącach. Jak choćby w Chojnicach, gdzie wielofunkcyjne boisko z oświetleniem, trybunami, ogrodzeniem, na którym można było grać w piłkę nożną, ręczną, siatkówkę, koszykówkę, tenisa oraz skakać w dal z rozbiegu, zrobiono za 370 tys. zł. W Łomży podobne kompleksy powstały po 400 tys. zł.

Uraczeni tuskowymi Orlikami samorządowcy nie spodziewali się najgorszego. Że placyk do haratania w gałę będzie generował koszty. I to wcale nie miało. Trzeba było płacić rachunki za oświetlenie, sanitariaty i koszty eksploatacji. Miesięczne utrzymanie Orlika to w tamtych czasach wydatki ok. 3–5 tys. zł – dziś wypada go przemnożyć razy trzy. Na szczęście bieżące konserwacje, czyli koszenie trawy wokół Orlika, sprzątanie i malowanie siatki wykonywali pracownicy gmin w ramach obowiązków wynikających z umowy o pracę.

Natomiast nie do przeskokowania była kwestia konserwacji nawierzchni. Maszyna, która odświeża sztuczną trawę i naprawia tartan, kosztowała już wtedy ok. 50 tys. zł. A na dodatek była potrzebna dwa razy w roku. No i trzeba ją było napełniać drogim granulem. W związku z tym konserwację murawy gminy sobie odpuszczały. Skutek był taki, że po paru latach na części Orlików nawierzchnia była wspomnieniem.

Tak samo z oświetleniem. Samorządom szkoła było na nie kasy, więc jupitery wyłączano. Haratać w gałę można więc było tylko za dnia.

Boisko racją stanu

Orliki przez co najmniej 10 lat miały być dla użytkowników bezpłatne. Takie były wymogi programu. Innym było to, że animator sportu zawiadujący Orlikiem musiał mieć umowę na kilkanaście lat. Połowę wynagrodzenia dostawać miał od ministerstwa. Ta połowa wynosiła wówczas 1000 zł. Chyba że gmina miała fanaberię zatrudniania dwóch animatorów. Wtedy rząd

obiecywał obstalowanie każdemu umowy-zlecenia w wysokości 500 zł brutto, co już wtedy było kwotą bardziej niż śmieszną. Złazcza że w takim zleceniu stało jak byk, że animator miał tak organizować pracę, żeby Orlik był czynny 160 godzin miesięcznie. Czyli od godz. 14.00 do 22.00 przez 20 dni roboczych. A w soboty i niedziele, gdy ludzie mają czas na rekreację, na bramie miała wisieć kłódka.

Dlaczego Orlik miał być czynny od 14.00? Bo 99 proc. Orlików od godz. 8.00 do 14.00 robiło za boiska przyszkolne. Wyszło zatem, że pod pozorem budowy ogólnodostępnych miejsc rekreacyjnych zbudowano boiska dla szkół.

Po lekcjach dzieciarnia z reguły biegała na nich za piłką do godz. 17.00. Potem na Orliki wchodziły dzieciaki w wieku mocno przekraczającym ten, w jakim wydaje się dowód osobisty. Żeby sobie móc pokopać piłę, robili ścięgę na cieciana-animatora, dla którego te właśnie pieniądze stanowiły sens pracy na tym stanowisku.

Ministerialna głupota tuskowych urzędasów związana z zatrudnianiem orlikowego animatora sprowadzała się do tego, że gość taki za śmieszną kasę miał organizować profesjonalne zajęcia i to przy zapewnieniu młodym ludziom bezpieczeństwa. Jeśli ktoś w resorcie sportu spodziewał się, że za 1500 zł na rękę animator będzie kimś więcej niż facetem od wydawania piłek i zamykania obiektu na noc, to musiał być idiotą.

Ilu wśród ponad 3000 animatorów-trenerów pracujących za psi pieniądź było ogarniętych pasją szkolenia młodzieży? Na pewno nie więcej niż parę procent. Dla całej reszty było to wyrobnictwo od godziny do godziny. Tacy animatorzy nawet jak zobaczyli diament piłkarski, to i tak nie mieli układów i znajomości w klubach piłkarskich, by przekazać go do oszlirowania i wypromowania. A skoro tak, to opowieści Tuska o przełożeniu się liczby boisk na moc reprezentacji w piłce kopanej były ściemą. Pierwsze efekty Orlików miały być już po paru latach. Wyżyn piłkarskich miały sięgać reprezentacje juniorskie i młodzieżowe. No i nie sięgnęły.

PiS po przejęciu państwa w 2015 r. Orliki – jako schedę po poprzednikach – odpuścił. Ale tylko do zeszłego roku. Okazało się bowiem, że miniboiska są doskonałą formą do finansowania zaprzajających z pisowskimi samorządami firm.

Rządowy program modernizacji Orlików ruszył w 2023 r. Na 170 obiektów poszło 45 mln zł. Kończyło się jak w Moszczenicy i Staszówce koło Gorlic. Boiska miały zacząć działać jeszcze w zeszłym roku. Z powodu niedoróbek ze strony wykonawcy tamtejsze obiekty nie hulały do końca czerwca.

Nowy rząd, zamiast dokonać stosownej oceny sensowności Orlików, nie wahał się ani chwili. Niemal od zaprzysiężenia Nitras o nich napomynał, by po paru miesiącach rozdysonować 75 mln zł dotacji na modernizację 293 Orlików. Kwoty dofinansowania jednego boiska są znaczne i wynoszą od 1,5 do 2,8 mln zł. Wydanie następnych 150 mln zł właśnie się proceduje.

W PZPN jest zarejestrowanych ponad 430 tys. osób kopających piłkę w sposób zorganizowany. Gdy Tusk wymyślał program Orlików, było ich ponad 500 tys. I tak wtedy, jak i dziś z setek tysięcy kopaczy nie można było wybrać 22 chłopów grających na nieprzynoszącym wstydu poziomie. W tym czasie bez ingerencji ministerstwa w inwestycje stosowne dla innych dyscyplin sportu, obiektów i trenerów, obrodziłyśmy w świetnych lekkoatletów czy tenisistów.

Orliki nie przyniosły polskiej piłce nożnej niczego. Jedynymi ich beneficjentami były i są firmy obiekty te budujące i konserwujące.

Minister Nitras jest tego świadom. A jednak znów rozdaje górę hajsu, wiedząc, że nie o sport tutaj chodzi. Dlaczego?

TADEUSZ JASIŃSKI

MÓZDZEK TYGODNIA

Na fale oceanu absurdu powróciła w typowym dla siebie pustogłowym stylu Beata Kempa, do niedawna europosłanka Suwerennej Polski. Zresztą czy ona kiedykolwiek ten ocean opuściła?

Oto w Rzymie polską turystkę usiłował okraść miejscowy (lub napływowy) rzezimieszek, a gdy mu się nie udało, ugodził ją nożem w rękę. Kempa zwiertrzyła krew. Pochwyciła telefon i na platformie X napisała, co jej w tępej duszy zagrało: „Polka brutalnie zaatakowana w Rzymie. Jeszcze trochę nieudolnych rządów Tuska – mistrza w robieniu wody z mózgu rękoma równie nieudolnych ministrów – i Polki nie będą bezpieczne w Polsce”. Następnie sięgnęła do nadzwyczaj płytkich pokładów mózgu i dopisała: „Liczy się tylko jego osobista kariera, PR, zadymy, mściwe i prymitywne posunięcia wobec opozycji,



groźne decyzje wobec edukacji naszych dzieci i wnuków czy zagrożenie dla bytu rodzin. Wielki Manipulant”.

„Wielki” to odpowiedni dla premiera Donalda Tuska przymiotnik. „Mała” dla Kempy – za duży.

Imigranci, czyli ludzie i liczby

Ruszyło domino wypychania. Polacy wypychają na Białoruś, a ostatnio Niemcy wypychają do Polski. Wcześniej Anglicy wypychali do Francji, a czy Francuzi do Niemiec, to nie wiem, ale bym się wcale nie zdziwił. Człowiek wędruje przez Ziemię, ze wschodu na zachód i z południa na północ, a ten, który osiedlił się wcześniej w szczęśliwych krainach Zachodu i Północy, tego biednego człowieka zwraca z powrotem tam, skąd przyszedł. Zawraca do krain upalnych i przekłębnych. Miliony ludzi, a w tym osoby prześladowane w swoich krajach pochodzenia, a także małe dzieci, są globalnymi ludźmi niechcianymi – rzec by można – kosmopolitami na odwrót, światowcami bez świata, który przecież ich nie chce. To wielkie globalne nieszczęście i wstyd.

Migracja jest dziś najważniejszym problemem politycznym i społecznym Zachodu – nie tylko Europy, lecz również USA, Kanady czy Australii. Wszyscy zgadzają się, że migracje to normalna sprawa i wszyscy w jakimś stopniu otworzyli się na imigrację zarobkową oraz uchodźców, ale nikt nie odpowiedział na pytanie, gdzie są, *nomen omen*, granice i wedle jakich norm należałoby je wyznaczyć. Nie wypada nawet mówić (przynajmniej w kręgach liberalnych), że w ogóle są jakieś granice i że powyżej pewnej liczby imigracja jest czymś niepożądanym, lecz jeszcze się taki nie narodził, kto by temu głośno zaprzeczył. Dla etyka taka sytuacja jest szczególnie trudna, bo przyzwyczajony jest borykać się z pojęciami, a nie liczbami. A tu chodzi jednak o wyznaczenie pewnych liczb. Ilu imigrantów demokratyczne, otwarte i wolne od uprzedzeń wielokulturowe społeczeństwo powinno przyjąć?

Ilu, a także skąd pochodzących? Łatwiej nam jakoś urządzić się z milionem Ukraińców – białych chrześcijan zza miedzy – a nawet z setkami tysięcy Filipińczyków, którzy nie są biali, ale za to pełną gębą katolicy, niż z dużą grupą Arabów, którzy mają w zwyczaju stawiać meczety i robić wokół nich sporo hałasu. Polacy z pewnością nie są liderami otwartości na imigrację, ale z drugiej strony trudno mi sobie wyobrazić kraj arabski albo wschodnioazjatycki, który zgodziłby się na osiedlenie się w nim miliona Polaków.

dzie mogą wędrować po całym świecie. I właśnie to robią. I dobrze, że to robią, bo bez tego mieszanina się i łączenia różnych kultur i potencjałów nie byłby możliwy rozwój. Wszyscy siedzielibyśmy jak te dziki, każdy pilnując swego i łypiąc złym okiem na sąsiadów. To byłoby głupie i dla wszystkich szkodliwe. Nawet Chiny i Japonia kiedyś przezwyciężyły swój izolacjonizm i mają z tego wielkie korzyści.

A jednak, pomimo całej zbawienności ludzkich migracji i oczywistych korzyści gospodarczych i kulturowych z wielokulturowości, masowe osiedlanie się przybyszów rodzi najrozmaitsze problemy. Są to problemy komu-



nalne, infrastrukturalne, które generalnie da się rozwiązać metodami gospodarczymi, lecz są to również problemy społeczne, związane z obyczajowością i religią, których łatwo rozwiązać się nie da. Gdy cudzoziemców pojawia się bardzo wielu, to miejscowi ponoszą z tego powodu istotne szkody. Po prostu ich otoczenie życiowe się zmienia i traci swoje własności, które postrzegają jako wartość. A przecież wszyscy jesteśmy „miejscowi”. Nasz mały bezpieczny świat, którego trwałość i wieczystą swojskość jako „małej ojczyzny” gwarantować nam miała „duża ojczyzna”, czyli państwo, na naszych oczach może się rozpaść w ciągu niewielu lat.

Jak pogodzić prawo ludzi do przemieszczania się po całej Ziemi z prawem ludzi do bezpiecznej swojskości, czyli zachowania swojej kultury i stylu życia? Na to pytanie nie da się odpowiedzieć wyłącznie wzywając do otwartości i życzliwości dla obcych. Owszem, wyzbywanie się uprzedzeń i życzliwość, a przede wszystkim patrzenie na człowieka jak na człowieka, a nie „czarnego” albo „muzułmanina” to nasze moralne obowiązki. Ale ich wypełnienie nie oznacza, że rezygnujemy, ani że mamy obowiązek zrezygnować, z naszego naturalnego dążenia, aby przemiany świata wokół nas przez swoje tempo i radykalność nie dewastowały naszego życia.

Ilu więc nie-Polaków może przyjąć Polska, aby jeszcze „Polska była Polską”? To szalenie trudne, ale również na takie pytania o liczby trzeba umieć sobie odpowiedzieć i zgodnie z tymi odpowiedziami kształtować politykę migracyjną. Oczywiście, wiele zależy od tego, kim mieliby być imigranci, jakie miałyby być ich zasoby i możliwości, jakie zamiary, jeżeli chodzi o czas pobytu, jakie aspiracje do odrębności i samorządności. Polska jak dotychczas nie ma polityki migracyjnej. Ale staliśmy się częścią Zachodu – krajem względnie zamożnym, spokojnym i pociągającym dla ludzi migrujących w poszukiwaniu lepszego życia. Najwyższy czas zacząć uczciwie rozmawiać na te tematy, zamiast przerzucać się populistycznymi hasłami albo epatować szczytnymi ideałami humanizmu. Hasła i ideały nie rozwiązują problemów. Potrzebna jest uczciwa rozmowa, rozmowa polska, lecz z udziałem naszych partnerów z Unii Europejskiej oraz znawców tematu. Czym prędzej ją zaczniemy, tym lepiej. Bo jak się spóźnimy, to rzeczywistość nas wyprzedzi i będzie, jak będzie, a nie tak, jak byśmy może sami chcieli.

JAN HARTMAN

Bartosz Rydliński, politolog z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, związany z Centrum Daszyńskiego, a także z fundacją Kwaśniewskiego, opracował raport pod ambitnym tytułem „Separacja czy rozdźwięk? Klasa ludowa i socjaldemokracja w Polsce”. Z nie do końca jasnych powodów, raport dostępny jest tylko po angielsku – może chodzi o to, że nie niesie dobrych wiadomości dla obecnej lewicy, z którą dr Rydliński jakoś tam kolaboruje. Efekt językowy nie jest zresztą najlepszy – raport opiera się na badaniach fokusowych i dosłowne przekłady wypowiedzi uczestników fokusu przypominają tłumaczenie frazy „z góry dziękuję” na „thank you from the mountain” („na waciki” przetłumaczono jako „for cotton balls”). Tym niemniej sugerowałabym Towarzyszom przestudiowanie raportu. Mogą poprosić Autora o polską wersję.

Klasa ludowa ma nas gdzieś

Najgorsza – i zupełnie przez Nową Lewicę ignorowana – wieść jest taka, że nie ma ona w ogóle poparcia wśród „klasy ludowej”. (Rydliński odwołuje się tu do pojęcia stworzonego przez francuskiego socjologa, Pierre’a Bourdieu, obejmującego zarówno chłopów, jak i robotników, a także niewykwalifikowanych pracowników usług etc.).

Na lewicę w 2023 r. zagłosowało 5,1 proc. robotników, 3 proc. rolników, 4,5 proc. osób z wykształceniem podstawowym i 4,2 proc. z zawodowym. Niejaką nadreprezentację miała wśród bezrobotnych – ale też nieszczęśliwą: 7,7 proc. Na pytanie, gdzie podział się ten tradycyjnie lewicowy elektorat, odpowiedź jest oczywista: poszedł do PiS, na który głosowało 50,4 proc. robotników, 67,4 proc. rolników, 63,7 proc. osób z wykształceniem podstawowym, 62,2 proc. z wykształceniem zawodowym i 45,9 proc. bezrobotnych.

Żeby zrozumieć tę nieprzyjemną dysproporcję, Rydliński zamówił w IBRI-sie kilka tzw. zogniskowanych wywiadów grupowych, popularnie zwanych fokusami. Wprawdzie – zapewne z braku funduszy – są to fokusy w wersji mikro. Optymalna grupa fokusowa to, według badaczy tematu, 6–8 osób; w raporcie są grupy trzynosobowe, co sprawia, że wyniki są dość przypadkowe. Pewne wnioski można z nich jednak wyciągnąć. I nie są to wnioski optymistyczne.

Autor porównuje dwie tury badań – z lipca i z listopada 2023 r.

Do pierwszej tury zaproszono przedstawicieli klasy ludowej; bez wyższego wykształcenia, nieposiadających własnego mieszkania, z dochodami poniżej 3 tys. zł. Podzielono ich na trzy grupy. Dwie charakteryzowały miejsce zamieszkania: mieszkańcy wsi i małych miasteczek oraz miast średnich i dużych. Trzecia to należąca do klasy ludowej dawni wyborcy Kwaśniewskiego i SLD – czyli ci, któ-

Różowy

Dlaczego lud nie głosuje na lewicę

rzy w swej masie lewicę porzucił.

Okazuje się – chyba niezaskakująco – że Polska wiejska i małomiasteczkowa jest wyraźnie różna od Polski średnio i wielkomiejskiej; za ostatnią zaś dość podobna do dawnej Polski eseldowskiej.

Bolszewicki despotyzm LGBT

Dwie ostatnie swoją wiedzę o świecie czerpią z mediów głównego nurtu, gdzie lewica traktowana jest nie tyle nawet wrogo, co z niejakim lekceważeniem. Wsie i małe miasteczka karmią się wiedzą z niszowych grup Facebooka, kanałów Youtube’a czy Telegramu. Rydliński martwi się, że te ostatnie zawierają „treści proputinowskie i antyukraińskie”, dodając, że są one „podręcznikowymi przykładami mediów skrajnie prawicowych, charakteryzujących się ksenofobią i antylewicowością”.

To chyba nie do końca prawda: owszem, są w tym gronie środowiska endeckie, ale za proputinowskie uchodzą dziś także poglądy pacyfistycznej lewicy, niechętniej zbrojeniom generalnie. Tymczasem militarny szal, w jaki wpadła cała polska klasa polityczna, jest nie do przełknięcia także dla wielu ludzi z lewa. Kłopot polega na tym, że wśród lewicy mainstreamowej ten pogląd jest zupełnie niecenizalny; poza niezłomnym prof. Kołodką, nie ma tam ani jednej osoby, która miałaby odwagę powiedzieć choćby tyle, że po zakończeniu wojny na Ukrainie trzeba będzie od nowa przemyśleć wydatki na wojско. Dr Rydliński niewątpliwie należy do mainstreamu, więc temat omija.

To wszakże jest – w kontekście omawianego raportu – kwestia marginalna. Istotniejsze są spostrzeżenia dotyczące oczekiwań szerokich rzesz elektoratu; nie tylko konserwatywnego, czy prawicowego. Najważniejsze jest takie, że klasa ludowa zupełnie nie rozumie zerojedynkowego skupienia lewicy na szeroko pojętych kwestiach światopoglądowych.

Interesujące odpowiedzi padają w reakcji na technikę projekcyjną zwaną chińskim portretem

Polskie obozy

Mamy znakomitego znawcę polityki migracyjnej w rządzie Tuska. I ciągle nie mamy rządowej polityki migracyjnej.



O potencjalnej fali migrantów zmierzającej do Polski wiedzieliśmy od lat. Już w 2003 r. szacowano, że w 2030 r. prawie 60 proc. obywateli RP przekroczy 50. rok życia. A Polska, wtedy państwo produkujące migrantów, stanie się też miejscem atrakcyjnym dla innych migrantów. Wówczas mówiono o obywatelach Ukrainy, Mołdawii, Białorusi, republik kaukaskich i Wietnamu. Masowych migracji z Syrii, Iraku, Iranu, Afganistanu, Erytrei i republik środkowoazjatyckich nie przewidywano. A „aktorów z Bollywood” – migrantów z Indii, Bangladeszu i Pakistanu – nikt się nie spodziewał.

Już w 2012 r. straż graniczna szacowała, że od 21 grudnia 2007 r., kiedy Polska weszła do strefy Schengen, do Polski wjechało i nie wyjechało około 280 tys. osób. Byli to przeważnie obywatele Ukrainy. Część z nich uzyskała legalizację swego pobytu. Wtedy, już 12 lat temu, organizacje pozarządowe szacowały, że nielegalnych migrantów może być w Polsce ponad pół miliona.

Ćwierć wieku tworzenia

Kiedy byłem młodym posłem, hej, posłem opozycyjnego SLD, to w 1999 r. napisałem interpelację do ówczesnego premiera Jerzego Buzka z AWS. Zapytałem go: dlaczego rząd polski nie ma polityki migracyjnej?

W odpowiedzi anonimowy reprezentant premiera bardzo serdecznie podziękował mi za zwrócenie uwagi na „tak ważny problem”. I dodał, że właśnie trwają pilne prace nad stworzeniem takiej polityki.

W 2002 r. byłem posłem rządzącej koalicji i napisałem taką samą interpelację do premiera Leszka Millera. Otrzymałem taką samą odpowiedź. Różniła się od poprzedniej jedynie datą. Dwa lata później przepisałem tekst wcześniejszych interpelacji i wysłałem kolejną do nowego premiera Marka Belki. Otrzymałem odpowiedź taką samą jak poprzednio. W 2005 r. powtórzyłem interpelację i wysłałem do premiera Kazimierza Marcinkiewicza. A rok później do premiera Jarosława Kaczyńskiego. Zawsze otrzymywałem odpowiedzi podobne do tej pierwszej, z czasów rządów Buzka. Na zasadzie kopiuje-wklej.

Dłatego nie zdziwiłem się, kiedy premier Donald Tusk pytany w 2013 r. o politykę migracyjną odpowiedział tak samo jak premier Buzek w 1999 r. Podobnie mówiła o tej polityce premier Beata Szydło i premier Mateusz Morawiecki, znany z ksywki „Pinokio”.

Żaś ludzie odpowiedzialni za stworzenie polityki migracyjnej w kolejnych rządach zawsze informowali media, że właśnie nad nią pracują. Mogli tak czynić, bo przez lata nie było silnej politycznej

Melex, tęczyrower

(„z jakim pojazdem kojarzy ci się dana formacja”). Badani ze wsi i małych miasteczek widzą w lewicy różowego Meleksa („te szkodliwe marsze w rodzaju LGBT”) lub tęczyrower („te ich akcje na rzecz LGBT i ekologii; Biedroń chwalił się, że jeździ rowerem do pracy, ale teraz to już tego nie robi, bo jest bogatym europoseł”). Ktoś inny wymienił Trabanta: „niby chodzi o prawa człowieka, ale oni ciągle o tym LGBT”, co ma być przejawem „bolszewickiego despotyzmu”. Historycznie to skojarzenie nie ma zbyt wiele sensu – bolszewicy, poza okresem tuż po rewolucji, nie wyróżniali się nadmierną tolerancją obyczajową – ale widać tu wyraźny wpływ języka kościelno-pisowskiego („czerwona zaraza już nie chodzi po naszej ziemi, ale pojawiła się nowa, neomarksistowska, nie czerwona, ale tęczyrowa”...).

Dawni wyborcy SLD są nieco bardziej wyrozumiali: kojarzą lewicę ze starym Audi („dobre, ale czegoś mu brakuje”), Teslą („teoretycznie zmierzają w kierunku modernizacji”), dużym Fiatem („odrestaurowanym i pomalowanym, ale przeszłość ciągle prześwituje”). Trudno wszakże ocenić, jakie polityczne wnioski z tego płyną.

Xbox za gotówkę

Druga tura badań, przeprowadzona parę tygodni po zeszłorocznych wyborach, składała się z trzech mikrogrup fokusowych dobranych według zupełnie innego klucza: wyborcy Nowej Lewicy z Warszawy; wyborcy NL z Włocławka, gdzie socjaldemokracja zawsze miała wynik lepszy niż w całym kraju; dawni wyborcy SLD z Jeleniej Góry (także tradycyjnie „czerwonego zagłębia”), którzy w 2023 r. nie zagłosowali na NL. Żadna z tych grup – o ile rozumiem – nie składała się z wyborców z klasy ludowej, co dość utrudnia jakiegokolwiek miarodajne porównanie. Ale i tu pewne konkluzje się nasuwają.

Na przykład, jeden z byłych wyborców SLD, który tym razem nie zagłosował na NL, wyjaśnił, że teraz może kupić Xboxa i telewizor za gotówkę, a przedtem nie mógł – z czego autor wyciągnął słuszny chyba wniosek, że „może on być widziany jako niebezpośredni beneficjent reform

wprowadzonych przez PiS”, który „nieomalże podwoił płacę minimalną i doprowadził do 75 proc. wzrostu płacy średniej”. Rydliński tej myśli nie rozwija, ale ja, jako członkini przekłętą bractwa symetrystów, spróbuję: być może należało – poza jebaniem PiS za wszystko, za co trzeba było go je-

bać – także odnotowywać to, co poprzedni rząd dla klasy ludowej zrobił.

Poświęcić więcej energii na przekonywanie tradycyjnych wyborców lewicy, że nie muszą wybierać między demokracją i państwem opiekuńczym, bo należy im się jedno i drugie.

Inne zauważenie jest takie, że wyborcy NL z 2023 r. deklarowali sporo cierpliwości wobec nowego rządu („oni wypełnią tylko część swoich obietnic od razu, będziemy powoli odczuwali tę ulgę”). Z kolei dawni wyborcy SLD mieli znacznie mniej zaufania („Tusk nas sprzeda przy pierwszej lepszej okazji, nie lubię ani Platformy, ani PiS-u, po równo”). Co z tego w zasadzie wynika dla stosunków między lewicą i jej utraconymi wyborcami – autor nie pisze, ale zważywszy na uległość NL wobec wodza koalicji, zapewne nic dobrego.

Inna konstatacja jest taka, że przekaz Nowej Lewicy trafia do jej wielkomiejskich (a konkretnie warszawskich) wyborców. Dostrzegają oni i doceniają zarówno jego aspekt obyczajowy, równościowy, prokobięcy i antyklerykalny, jak i – co mniej oczywiste – rozsądne pomysły w kwestii mieszkalności. To chyba nie jest jednak jakieś szczególne odkrycie: jeśli młody (jak wynika z wypowiedzi) człowiek w stolicy zagłosował na lewicę, a nie na Tuska, to zapewne dobrze wiedział, na jaki program głosuje.

Trąbią i trąbią

Nieco więcej wnoszą wypowiedzi grupy drugiej – wyborców NL z Włocławka, którzy przyznawali, że dla nich prawa osób LGBT „nie były argumentem do głosowania na lewicę”, dodając, iż „oczywiście te sprawy powinny być uregulowane”, gdyż „ci ludzie żyją w społeczeństwie tak samo, płacą tak samo podatki i nie powinno się pokazywać ich palcem ani prześladować” oraz że „powinno być tyle tolerancji, ile to możliwe i nie powinno być stygmatyzacji ani zakazów”. Byli wyborcy SLD z Jeleniej Góry poszli krok dalej: „Za dużo było o tych homoseksualnych relacjach, za dużo mówią o adopcji dzieci przez pary homoseksualne, lewica skupiła się za bardzo na homoseksualistach i aborcji, i na niczym innym, to jej jedyny temat, trąbią i trąbią o tym samym”.

Dla porządku: nie wzywam lewicy do porzucenia walki o prawa kobiet i mniejszości. Nie powinna jednak – jak wyraźnie wskazują wypowiedzi z przytoczonych (przynajmniej: niedoskonałych) badań – dokonywać wyboru z gatunku: czy myć ręce, czy nogi. Wyłącznie skupienie na aborcji i równości małżeńskiej – zwłaszcza przy braku samodzielnej sprawczości – jest złym pomysłem. Poza wielkomiejską inteligencją uważają tak zarówno ci, co na lewicę zagłosowali, jak i ci, co ją porzucili; nie mówią już o tych, którzy ewentualnie mogliby się do niej przekonać.

Co z tego wynika?

Na pierwszy rzut oka można by powiedzieć, że lewica powinna przeorganizować swój przekaz, zmienić rozłożenie akcentów, nie dyskutować wyłącznie z wielkomiejską inteligencją, więcej mówić do klasy ludowej, postarać się, żeby sensowne postulaty społeczno-gospodarcze, takie jak rozwój budownictwa komunalnego, trafiły pod strzechy. Ot tak, spod dużego palca.

Dr Rydliński starannie unika tego typu obrazoburczych wniosków, ograniczając się do niezbyt oryginalnej myśli, że „lewica powinna być bardziej aktywna w socjamediach”. Dodając – co już odbieram nieco osobiście – że „nie ma tygodników ani dzienników wydawanych drukiem, wspierających program NL”.

Dla porządku: są trzy ogólnopolskie lewicowe tygodniki. Poza „NIE” – także „Przegląd” i „Fakty po mitach”. Prawda jest jednak taka, że garstka przedstawicieli partyjnej nomenklatury, zadowolona ze swoich nieistotnych, ale schlebających ich próżności posad w sejmie i rządzie, jest kompletnie niezainteresowana jakąkolwiek dyskusją o przyszłości formacji – ani między sobą, ani z wyborcami, ani ze „swoimi” mediami, ani ze swoim eksperckim zapleczem. To jakże mają się tym interesować obywatele?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

pracy

woli, by ten niepopularny wśród polskich wyborców problem systemowo rozwiązać.

Dziś wiceministrem w rządzie Tuska jest Maciej Duszczyk. Jeden z najlepszych znawców polityki migracyjnej w naszym kraju. Wybitny ekspert. Pomimo takiego zaplecza intelektualnego nadal nawet projektu rządowej polityki migracyjnej nie ma.

Ubywamy

Dziś prognozy demograficzne brzmią fatalnie. Według Głównego Urzędu Statystycznego do roku 2060 w naszym kraju ubędzie prawie 5 mln

Polaków. Liczba polskiej ludności wyniesie około 32–33 mln. O 12–13 proc. mniej niż obecnie. Oprócz stałego ujemnego przyrostu naturalnego będziemy obserwować inne niekorzystne zmiany. Liczba kobiet w wieku 15–49 lat, czyli potencjalnych matek, spadnie do 2060 r. aż o 30 proc. Zwiększy się za to o ponad 2,5 mln populacja osób w wieku 65 lat i starszych. Aż dwukrotnie wzrośnie grupa osób w wieku ponad 80 lat. Chyba, że pojawi się kolejna pandemia przyspieszająca zgony ludzi starszych, schorowanych, utrzymywanych z pracy kurczącej się populacji produkcyjniaków.

„Taka struktura demograficzna jest wysoce niekorzystna dla gospodarki” – alarmuje od lat prof. Elżbieta Mączyńska, prezes honorowa Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. Polscy ekonomiści, biznesmeni i nawet politycy i dziennikarze wiedzą o tym od dawna. Ale wielkiego larum nie czynią.

Skoro polityki migracyjnej państwo polskie nie miało, a gospodarka polska rozwijała się i coraz

bardziej potrzebowała nowej, dodatkowej siły roboczej, to krajowi biznesmeni i wspierający ich politycy zaczęli uprawiać taką politykę na własną rękę. Bez zgłosu, rzecz jasna. Zwykle było to

tak: do lokalnego parlamentarzysty albo samorządowca zgłaszała się grupa miejscowych biznesmenów i żaliła się na brak rąk do pracy. Informując, że mogą pozyskać migrantów, ale polskie służby konsularne nie dają im wiz. Dlatego proszą o interwencję. W zamian za taką akcję „dla dobra Polski”, obiecują politykom wdzięczność, zwłaszcza w zbliżającej się kampanii wyborczej. Kolejnej, z roku na rok niestety coraz bardziej kosztownej.

Pracownicy importowani

Rynek nie lubi próżni. Rosnący w ostatnich 10 latach popyt na pracowników stworzył liczne firmy sprowadzające ich z zagranicy. Coraz więcej, coraz bardziej wykwalifikowanych. Zara-

biających na handlu nimi. Nic dziwnego, że ten rosnący popyt i brak państwowej polityki migracyjnej, czyli zasad pozyskiwania migrantów, doprowadził do powstania pod parasolem Ministerstwa Spraw Zagranicznych i ówczesnego wiceministra Piotra Wawrzyka zorganizowanej grupy przestępczej zarabiającej na masowym handlu polskimi wizami. Po wykryciu afery Wawrzyka nowa koalicja gromko zakazała takich praktyk, co przyniosło radykalne ograniczenia wydawania wiz dla zagranicznych pracowników. I narastające niezadowolenie polskiego biznesu. No i kolejne fale presji na nowo rządzących.

Za czasów rządów PiS zyliliśmy w politycznej schizofrenii. Związane ze Zjednoczoną Prawicą media straszyły wyborczy ciemny lud hordami ciapatych gwałcących kozy i polskie kobiety. Na tak wywołany strach Zjednoczona Prawica oraz Konfederacja zyskiwała dodatkowe poparcie wyborcze. Jednocześnie związany z prawicą biznes pozyskiwał polskie wizy dla niezbędnych gospodarce cudzoziemskich pracowników. Nawet narodowy szcampion w propagandzie polskiego patriotyzmu i polonizowania wszystkiego, co popadnie, koncern Orlen, swą sztandarową inwestycję w Płocku buduje rękami migrantów z Filipin, Bangladeszu i republik środkowoeuropejskich.

Lekarz, dziennikarz, zięć

Polscy politycy wierzą, że bez populizmu, bez oszukiwania swego ludu wyborczego, upragnionej większości głosów nie zdobędą. Niestety ów lud wyborczy, wychowywany przez lata przez zakłamywany polski Kościół katolicki i równie zakłamywane polskie media głównego nurtu, na migrantów reaguje schizofrenicznie. Według najnowszych badań 42 proc. ankietowanych uważa, że nie należy przyjmować żadnych uchodźców, a są regiony, gdzie ten odsetek sięga 70 proc. Dwa lata temu aż 75 proc. Polaków aktywnie pomagało ludziom, którzy uciekali do nas przed wojną. Nie martwiła ich obecność obcokrajowców w Polsce, a 82 proc. uważało, że nie zagrażą oni polskiej kulturze, tradycjom, moralności. Dziś tylko 35 proc. akceptuje udzielanie schronienia obywatelom państw sąsiednich, czyli Ukraińcom i Białorusinom, a jedynie 14 proc.

ankietowanych Polaków zgadza się, by godzić się na uchodźców z dalszych zakątków świata.

Co ciekawe, kiedy ankietarzy firmy Opinia24 zapytali o zawody, jakie mogliby w Polsce uprawiać uchodźcy, to okazało się, że prawie 80 proc. ankietowanych nie ma nic przeciwko, aby uchodźcy pracowali w handlu i usługach, aby nas leczyli. Uchodźca może być też dziennikarzem – to akceptuje 65 proc. Nie może być jednak politykiem, nawet lokalnym – tu 58 proc. jest przeciw. Ale co najciekawsze, uchodźców jako sąsiadów zaakceptowałoby aż 75 proc. ankietowanych, a jako zięciów – 64 proc. W tym ostatnim przypadku to zrozumiałe. Tradycyjnie w Polsce zięć to jednak nie rodzina.

Znając te opinie wyborców, polski rząd nie śpieszy się z ogłaszaniem zasad polityki migracyjnej. A w praktyce może zaofiarować uchodźcom początkowy pobyt w ośrodkach o standardzie gorszym niż te „oferowane” internowanym działaczom Solidarności w czasie stanu wojennego przez Wojskową Radę Ocalenia Narodowego.

Dziś obywatele III RP najchętniej widzieliby uchodźców i zarobkowych migrantów jako pracowników skoszarowanych w obozach pracy lub na farmach u polskichbauerów. Idealem przyszłej polityki migracyjnej III Rzeczypospolitej są roboty przymusowe sprawnie organizowane w III Rzeszy Niemieckiej.

Bo Polacy nie chcą pamiętać, że też są narodem migrantów, uchodźców. O tym, że klasycy polskiej literatury, muzyki i nauki w XIX w. tworzyli swe dzieła na emigracji.

Ani że dzisiaj poza granicami Polski mieszka 20 mln osób, które czują się Polakami lub są ich potomkami. Nasza chata z kraja.

PIOTR GADZINOWSKI





Zalew imigrantów à la TV Republika

Ciapata Góra

„Nielegalni imigranci zostali przewiezieni do noclegowni w Zielonej Górze!” – poinformował nagłówek portalu telewizji Republika, czym natychmiast zwrócił moją uwagę, gdyż żyję w tym mieście od momentu uzyskania praw do numeru PESEL i wiem, że medialna wzmianka o mojej pipidowie zawsze wróży grubą atrakcję. Choć zwykle mediów Tomasza Sakiewicza unikam jak chorób pasożytniczych, kierowana lokalnym patriotyzmem odpaliam materiał. Funkcjonariusz TV Republika Janusz Życzkowski, stojąc w bezpiecznej odległości od zielonogórskiego przytułku dla bezdomnych, wyjaśnił, że według jego informacji niemiecka (ha, tfu!) straż graniczna przewiozła do placówki blisko setkę obcych kulturowo i kolorystycznie obcokrajowców wyłapanych na terenie wroga, czyli za Odrą. Zielona Góra leży w województwie lubuskim, 185 km od Berlina, ok. 60 km od granicy z Niemcami. Przywykliśmy tu raczej do ruchu w drugą stronę, a tu sensacja – zwracają! Z każdą minutą reportażu przybywało tragicznych doniesień. Okazało się, że nie tylko nie wiadomo, kto zapłaci za ciapacki element pod polskim dachem dla bezdomnych, ale gdzie ów element się rozlał i do czego jest zdolny. W rogu ekranu zaplono nagranie ze stolicy, gdzie obywatel Kenii czy innej Nigerii skakał po dachu auta, a Życzkowski grzmiał o ignorancji mieszkańców sąsiadującego z noclegownią osiedla, które nazwał „zielonogórskim Jagodem”. „To już się dzieje!” – pluł do mikrofonu. Social media lokalnych prawniczych polityków jak na komendę zapełniły się przeróbką plakatu filmu „Zielona Granica” Agnieszki Holland, na którym obok Mai Ostaszewskiej widnieje ciemnoskóry młodzieniec z maczetą, a nad nimi napis Zielona Góra. Z drzeniem wąsa odchyliłam firankę, wyglądając za okno, a tam gówno – kościół, osiedlowy parking i śmietniki, zero ludzi, bo upał. Postanowiłam czym prędzej wyruszyć na zielonogórskie ulice, żeby odszukać stu imigrantów, którzy wedle prognoz TV Republika mieli zrobić z mojego miasta Paryż zachodniej Polski.

Zielona Góra to ładne miasto, ale wciąż w Polsce, logika wskazywała zatem, że ktokolwiek został tu zawrócony siłą z niemieckiego raj, będzie próbował do niego wrócić. Udałam się na dworzec, bo wiadomo, że najciemniej (he he) pod latarnią. Zaczęłam od PKS-u. Gdzie okiem nie sięgnąć, sytuacja przedstawiała się dramatycznie: zniszczona infrastruktura, przerażeni ludzie, smród rzygowin i szczyń. Niestety, obywateli trzeciego świata o kolorze skóry odmiennym od świńskiego różu tu nie widziałam. Dworzec PKP po drugiej stronie ulicy prezentował się zdecydowanie milej dla oka, jak i dla nosa. Patrol policji kręcący się po głównej (i gwoi ścisłości, jedynej) hali, skusił mnie do penetracji peronów.

Nareszcie! – pomyślałam, widząc skulone na ławce ciemne postacie. Jak żywo stanął mi przed oczami masowo udostępniany przez prawnicze portale obraz przystanku autobusowego,

na którym siedzą ciapaci z miejscowości Czerlanka w Puszczy Białowieskiej. Według prawaków, w tamtym miejscu zorganizowano punkt zbiorczy, gdzie imigranci wypełniali dokumenty o pełnomocnictwo i wnioski o azyl w Polsce.

Pefna nadziei podbiłam do ludzkiego kłębowa, ale niestety znowu – mówiąc kolokwialnie – pizda, żeby nie użyć określenia rozczarowanie. Uboższa o 10 zł oddalałam się z dworca, bogatsza o wiedzę, że nawet nie po ukraińsku, ale po polsku można się dogadać z dworcowymi brudasami.

„Mam pytanie (...) czy pan migrant z Afryki musi płacić za jedzenie? Czy pan migrant z Afryki może bić kobiety? Skąd się biorą takie filmy? To rasiści je generują w AI? Czy to może rzeczywistość krajów, które doświadczają masowej migracji?” – zapytał poseł Dariusz Matecki w social mediach, załączając materiał, na którym ciemnoskóry gentleman robiący zakupy w jednym z tzw. cywilizowanych krajów, zaprzecza wszelkim kodeksom szeroko pojętej kultury. Obskoczyłam kolejno: stację benzynową, dwa dyskonty i market w centrum miasta. Znowu kłapa, spastwici nacjonalistycznie mogłam się ewentualnie nad olejem z czarnuszki i to drożej niż nad żułami z dworca, bo za 22,90 zł.

Zielona Góra to miasto w lesie. Jest tak otoczone sosnami, że mieszkańcom bliżej do przypłaszczka granatka (taki owad, szkodnik) niż do ludzi. Umówmy się, że to też dobry teren na kryjówkę i partyzantkę – 60 km do granicy, z kapią w sprzyjających warunkach i z reklamówkami z Lidla czy innej Biedronki można pokonać w dobie. Zaczaiłam się, niby na kurki, niby na migrantów, z koszyczkiem. „Zakaz wstępu do odwołania. Zrywka drzew” – poinformowała mnie tabliczka w najbliższym zagajniku. Pies by się brzydził lizać mordy leśnikom, ale nie lewacom czy szemranym przybyszom, więc dzielnie uderzyłam w knieje. Europoseł PiS Waldemar Buda umieścił na swoim profilu na platformie X filmik niewiadomego pochodzenia z bójką ciemnoskórych, pod który podłożono odgłosy małp. To bardzo zabawne, tak jak zawał czy białaczka. Napotkałam kolejne gówno, co prawda zawinięte w pieluchę i wetknięte w korzenie drzew, ale jednak. Małpki, owszem, ubogacali krajobraz, ale nie piszczały. Jak pech, to pech.

Dowiedziałam się, że Caritas prowadzi w Zielonej Górze Centrum Pomocy Migrantom i Uchodźcom. Organizacja nie zapewnia noclegów, dlatego wszystkie osoby niewydolne w tym zakresie są kierowane do zielonogórskiej noclegowni. Do przytułku w ostatnich miesiącach trafiło 79 obcokrajowców – z Anglii, Węgier, Litwy, Bangladeszu, Iraku, Indii, Pakistanu, Somalii czy Litwy. Gdzie się później rozleźli, nie wiem. I prawdę mówiąc mam to w dupie, dokładnie tam, gdzie telewizję Republika.

IDALIA DUBICKA

Postumenty

Polskie prawo zabrania, aby most im. Krzysztofa Jurgieła nie był mostem im. Krzysztofa Jurgieła.

Prorządowa propaganda w odbitej od PiS TVP, zdaniem mnóstwa polityków KO, nie działa. Powszechne joby lecą na rząd za podwyżki cen energii, przycinanie transferów socjalnych i fatalne wyniki kwitujących za poprzedniej władzy państwowych spółek. A będzie jeszcze gorzej, bo Bruksela narzuca Polsce procedurę nadmiernego deficytu, co skończy się tak jak dekadę temu – zamrożeniem inwestycji i podwyżek dla budżetówki. Skoro nie ma i nie będzie kasy, to władzy zostaje jedno: igrzyska. Rozliczanie, czyli przesłuchania, szczucie prokuraturą i odbieranie immunitetów trochę się pospółstwu przejadło, więc pojawiły się koncepcje ucieczki do przodu. Tę zaś ma przeprowadzić sam naród, zwalając pomniki i zmieniając patronaty oraz wszelką symbolikę związaną z dobrą zmianą.

Kaczyński po horyzont

Kiedyś stały w Polsce pomniki Lenina, Dzierżyńskiego i żołnierzy radzieckich. Jeszcze wcześniej – carów. A dzisiaj już nie stoją. Część wyładowała w muzeum w Kozłowie. Tam można zobaczyć Lenina z Poronina, Marchlewskiego z Włocławka, Bieruta z Lublina czy Świerczewskiego z Warszawy.

Miejsce niedysiejszych ludzi ze spiżu zajęli inni. Niekwestionowanym liderem w konkurencji pomników, tablic i płaskorzeźb – z wynikiem 700 – jest oczywiście Karol Wojtyła. Za nim plasują się ofiary katastrofy smoleńskiej – 96 tragicznie zmarłych ma dziś ponad 460 publicznie dostępnych upamiętnień. Najniższe miejsce na podium zajmuje Lech Kaczyński ze 160 swoimi niepodobiznami.

Ostatni pomnik brata Prezesa odsłonięto w styczniu w Lublinie. Stoi w poczesnym miejscu, bo przy Placu Teatralnym. Jak twierdzi rzecznicz społeczny komitetu budowy pomnika, monument kosztował ponad 1 mln zł, a całość uzbieranej kwoty pochodziła z donacji osób prywatnych.

Lubelski pomnik Kaczyńskiego nie różni się od wcześniejszych uwiecznień niedysiejszego lokatora Pałacu Prezydenckiego. Wszystkie one są koszmarnie niepodobne do oryginału. Dlatego przez lokalnych najnowszego pomnika Lecha Kaczyńskiego został okrzyknięty pierwszym pomnikiem Aleca Baldwina w Polsce. Internauci wiedzą jednak swoje, dlatego uważają, że

na postumencie stoi Leszek Michalski, aktor kabaretu Koń Polski.

Pierwszy w kraju pomnik postawił Kaczyńskiemu – a właściwie prezydentostwu Kaczyńskiemu, bo postacie są dwie – Radom. Odsłonięcie nastąpiło 18 czerwca 2013 r. w rocznicę urodzin bliźniaków. Na czele komitetu budowy stał Marek Suski i to on załatwił, że monument stoi przy głównej ulicy miasta. Oczywiście Kaczyński jest do siebie niepodobny, ale Maria Kaczyńska – nawet, nawet. Największe wrażenie robi jednak płaszcz Kaczyńskiego, który każe myśleć, że prezydent odziewał się w tkaniny o lekkości ołowiu.

Gdy budowano pomnik, PiS jeszcze nie rządziło, dlatego kosztował on tylko 230 tys. zł.

Rok po Radomiu Lech Kaczyński wyładował w Dębicy w formie odwijającego się z całunu popiersia na ognie spadniętego tupolewa. Monument stanął na placu noszącym nazwę rodziny Mikołajków, która podczas II wojny światowej ukrywała Żydów. Rośnie na nim też 17 Dębów Katyńskich upamiętniających ofiary NKWD. Dlatego przeciwko usadowieniu tam ogona samolotu protestowała Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz dębicki sybiracy, którzy nie chcieli doraźnego monumentu w miejscu upamiętniającym ofiary zbrodni katyńskiej i poświęcenie Mikołajków. Ale Dębica jest na Podkarpaciu, dlatego miejsce dla wyrastającego z ogona Kaczyńskiego musiało się znaleźć. I teraz Lech Kaczyński owinięty wokół krzyżo-tupolewa niczym wąż, spogląda na ludzi z góry.

O dziwo, w miłujących PiS Siedlcach radni dwa razy musieli podchodzić do głosowania w sprawie budowy pomnika. Ale 28 września 2014 r. w centrum miasta odsłonięto dwupółmetrową postać Lecha Kaczyńskiego z brązu na 3,5-metrowym granitowym postumencie. Sponsorem pomnika chodzilo o to, żeby wielkością był porównywalny do stojącego niedaleko Jana Pawła II. Spiżowy Lech Kaczyński prawą dłonią wskazuje na trzy książki z napisem „Bóg, Honor, Ojczyzna”. W lewej trzyma książkę z logo PiS. I tylko dlatego wiadomo, kto zacz. Bo twarz ani postura nie przypominają byłego prezydenta. Po odsłonięciu internet dopatrzył się za to podobieństw do mnóstwa innych ludzi, w tym Jarosława Kuźniara, Bogdana Borusewicz no i przede wszystkim do Karola Wojtyły.

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ W Gdyni przy Nabrzeżu Rybackim, na terenie Mariny Yacht Park, postawiono pomnik psa. Gdyński pomnik psa ma być tym, czym kopenhaska syrenka przyciągająca artystyczną magią turystów. Spiżowy pies został wyrzeźbiony przez uczennicę liceum plastycznego Kingę Księżopolską. Artystka inspirowała się psem, który uduł fokę pływając na krze po otwartym morzu. Spiedestalizowanego psa w 2010 r. uratowała załoga statku badawczego należącego do Morskiego Instytutu Rybackiego w Gdyni. Zdechl w 2017 r. Wabił się Baltica.

■ Uchwała o strefie czystego transportu w Krakowie, którą unieważnił Wojewódzki Sąd Administracyjny, wciąż jest ważna – uważają władze Krakowa, ponieważ odwołały się od wyroku do Naczelnego Sądu Administracyjnego, a ten jeszcze nie orzekł. Ponieważ młyn sprawiedliwości nie są rychliwe, zmieniono zapis uchwały rady, który przesuwła datę wprowadzenia strefy z 1 lipca tego roku na następny lipiec. Uchwały w sprawach czystych stref, tak w Krakowie, jak i w Warszawie, są szkodliwe i głupie, co zauważy zapewne dopiero Trybunał Konstytucyjny. Problem Warszawy jest taki, że tutejszej uchwały nikt jeszcze nie zaskarżył.

■ W ręce Biura Spraw Wewnętrznych Policji wpadli funkcjonariusze z Jasła i Krosna, którzy chcieli przekonać rzeszowskiego psychiatrę, że są wariatami.



Ponieważ lekarz nie wykrył symptomów szaleństwa, postanowili go przekupić. W toku śledztwa ustalono, że psychiatra dał się już przez miejscową policję, strażaków, zawodowych żołnierzy i tajne służby skorumpować 270 razy, wystawiając zaświadczenia o zaburzeniach umysłowych za pieniądze. Mimo wszystko fakty wskazują na to, że kuku na muniu jest w podkarpackich służbach mundurowych ewidentne. Że wystawiano te potwierdzające prawdę dokumenty w zamian za nieprzepisowe gratyfikacje – to już inna sprawa.

■ Jest sukces – donosi podwawelska prasa – albowiem zamontowano nowe schody ruchome na Dworcu Głównym PKP w Krakowie. Schody nie były ruchome, moim zdaniem, przynajmniej od ośmiu lat,

specjalnej troski

Kraśnik swój pomnik Lecha Kaczyńskiego ma już od sześciu lat. I pal nawet lichy, że postać ma zaburzone proporcje, bo oczywiście za grosz nikogo nie przypomina. Stąd rzeźba dorobiła się nazwy: mężczyzna w gumofilcach. To i tak nic, bo płaskorzeźba zawieszona w 2013 r. w Toruniu to najbrzydsza podobizna – bez kontekstu trudno byłoby odgadnąć, kogo przedstawia.

Za rządów PiS, Lech Kaczyński obrodził w całym kraju. Jest w Poznaniu, Białej Podlaskiej, Skórczu, Grudziądzu, Mińsku Mazowieckim, Opolu Lubelskim, Tarnowie, Koszalinie, Pisz, Poniatojew, Roczynach i ponad setce innych miejsc. W stolicy na wprost smoleńskich schodów do nieba – również.

Pomnik nieznanego polityka

Esteci, którzy sądzili, że tak paskudnych podobizn jak Kaczyńskiego nie jest w stanie przebić, okazali się ludźmi małej wiary. W 2017 r. w Dąbkach odsłonięto ławeczkę Przemysława Edgara Gosiewskiego, wicepremiera za pierwszych rządów PiS, który wsławił się tym, że wprowadził do sejmu swoje dwie żony, a potem zginął w katastrofie smoleńskiej. Rzeźba po pierwsze nie przypominała nikogo, a po drugie była przeokrutnie brzydka. I to na tyle, że matka Gosiewskiego stwierdziła: „Nie jestem zadowolona z tego efektu”. Po czym dodała: „Twarz przypomina bardziej George’a Washingtona niż mojego syna”. Kobieta zleciła twórcy poprawkę, a gdy to się nie udało, zdecydowała, że ławeczka z Gosiewskim pojedzie do Kołaków Kościelnych koło Zambrowa, rodzinnej miejscowości wicepremiera. Stała tam przed utworzoną pół roku po jego śmierci Izbą Pamięci Przemysława Gosiewskiego.

Nie znaczy to jednak, że w Dąbkach nie ma pomnika Przemysława Edgara. Jest od 2021 r. i to pełnoskalowy, a na dodatek nie w formie ławeczki. I oczywiście z twarzy przypomina wszystkich poza Gosiewskim.

Dwa lata wcześniej Gosiewski ze spżu stanął w Kielcach. Mimo że facjatę miał do oryginału niepodobną, to matka Gosiewskiego się nim zauroczyła i poprosiła twórcę rzeźby o kopię. Dostała i teraz w Kołakach Kościelnych Gosiewski ma swoją izbę pamięci, ławeczkę i pomnik w wymiarach rzeczywistych.

We Włoszczowie, rozślawionej przez wicepremiera zatrzymującym się pociągami ekspresowym, Przemysław Edgar ma ledwie – przypominając nagrobek – tablicę upamiętniającą. No i rondo. W Końskich też. Tak jak w kilkunastu innych miastach. Kielce mają ulicę Gosiewskiego – dziesiątki miasteczek również. Tak jak skwery i place.

Oczywiście Kaczyńskiego w patronowaniu przestrzeniom miejskim Gosiewski nie prze-

bije. Eksprezydent ma ich grubo ponad setkę. Lech Kaczyński miał dać imię mostowi w Bydgoszczy, ale radni stanęli okoniem. Jest więc tylko – wraz z żoną – współpatronem mostu nad Dunajcem w Nowym Sączu. Co oznacza, że w kategorii przepraw nad wodą Lech Kaczyński przegrywa ze zmarłym parę lat temu posłem PiS i parlamentarzystą tej partii Jerzym Wilkiem, który stał się patronem Mostu Południowego na Przekopie Mierzei Wiślanej oraz z... Krzysztofem Jurgielem. Ten co prawda żyje, ale od paru tygodni, po tym jak pożarł się z prezesem PiS, do partii nie należy. I wcale nie poszło o to, że Jurgiel ma most swojego imienia, a zmarły brat prezesa nie.

Most noszący miano byłego ministra rolnictwa jest na rzece Narwi w miejscowości Łaś-Toczyłowo w gminie Zawady.

Zabetonowani patroni

Każdy ze stawianych postumentów był oprotowany, a ich uroczystym odsłonięciem towarzyszyły demonstracje. Tak samo było z nadawaniem imion herosów PiS infrastrukturze drogowej. Jednak samorządy lokalne, wiedząc, skąd spada manna, były za. Dziś, gdy subwencjami dla gmin rządzą w Warszawie ludzie, na których PiS działa jak czerwona płachta na byka, optyka samorządowców się zmienia. Szczególnie że antypisowski bębenek podbijają lokalni działacze dzisiejszej koalicji rządowej, sugerując, że pomniki i tablice z pisowską symboliką winny wyładować na śmietniku. I to nie tylko historii, bo albo symbolika dobrej zmiany, albo pieniądze. Oczywiście nie dotyczy to Warszawy. Trzaskowski nikomu nie musi udowadniać swojego stosunku do PiS, więc pomnik Kaczyńskiego na placu przed Grobem Nieznanego Żołnierza go nie rusza. Ale tam, gdzie samorządami władają ludzie z nadania Kaczyńskiego, towarzystwo się łamie i główkuje, jak tu się przypodobać nowym decydentom. Sposobów jest wiele, a szlak przetarli Tarnów, wyciągając przed sądem argument, że rzeźba Lecha Kaczyńskiego, która stała przed budynkiem tarnowskiego dworca PKP, stoi tam mimo braku pozwolenia budowlanego, czyli nielegalnie.

Gdyby jednak ktoś chciał zrzucić pisowców z piedestału, to się srogo zawiedzie. Przynajmniej jeszcze przez kilkanaście miesięcy.

Partia Kaczyńskiego otóż zabetonowała nie tylko mnóstwo stanowisk. W 2022 r. wymsłała bowiem ustawę dotyczącą nazw obiektów przestrzeni publicznej oraz pomników. Pisowcy wpadli na ten pomysł, gdy po protestach Strajku Kobiet, samorządy chciały zmieniać ronda i place Dmowskiego czy innych endeków na aleje Praw Kobiet, ulice Tęczowej Flagi, czy skwery Wolności Reprodukcyjnej. Ustawa prze-

szła przez pisowski sejm jak burza i teraz określa zasady zmiany nazw obiektów przestrzeni publicznej, a także zasady usuwania pomników „upamiętniających osoby, grupy osób, organizacje, instytucje, wydarzenia, przedmioty, daty lub miejsca istotne dla tożsamości Narodu Polskiego, działania na rzecz budowania i umacniania Państwa Polskiego oraz rozwoju społeczeństwa”. Konkretnie zaś chodzi w niej o to, że

samorządom nie wolno zmieniać nazw ot tak. Święci i patrioci w nazwach ulic, parków i rond oraz ci stojący na pomnikach są więc nie do ruszenia. A na ich straży stoi prawo.

Ta kretyńska ustawa zdefiniowała na przykład patrona. Teraz to nazwa obiektu odwołująca się do imienia,



Rys. MARCIN CHUDZIK

nazwiska, przydomku lub pseudonimu: „historycznego władcy Państwa Polskiego lub księcia polskiego okresu rozbicia dzielnicowego, Ojca Niepodległości, innej osoby zasłużonej dla budowania i umacniania Państwa Polskiego, tożsamości Narodu Polskiego lub dla rozwoju społeczeństwa poprzez: udział w walce o niepodległość lub ochronę granic państwa, zaangażowanie w rozwój gospodarczy lub dorobek artystyczny, naukowy lub działalność społeczną, osoby ogłoszonej świętą lub błogosławioną przez Kościół Katolicki lub inny kościół chrześcijański”.

Skoro jest ustawa, to aby nie obowiązywała, trzeba ją zmienić kolejną ustawą. Tej zaś oczywiście nie podpisze Andrzej Duda. Co prawda nie z takimi ustawami Tusk dawał sobie ostatnio

radę, ale w tym przypadku może być zabawnie. Bo choć zwalony z cokołu pomnik i tak trafi do przetopu, ale funkcjonowanie ludzi i firm pod alternatywnymi nazwami ulic może być wkurzające tak dla listonoszy, jak i dla mieszkających pod tymi adresami ludzi i działających pod nimi firm. O ile zatem pomniki trafią do jakiejś Kozłówki, a mosty Jurgieła, Kaczyńskich i Wilka staną się bezimienne, to ulicami pisowskich polityków będziemy się szwendać przez dziesięciolecia.

TOMASZ BOROWIECKI

a zdaniem tamtejszych mediów – od sześciu tylko. Chodzi o te słynne schody, które powinny być ruchome, a nie ruszały się podobnie jak wybudowane równoległe schody nieruchome. Obecnie ruchome jeszcze się nie ruszają, ale jest to kwestia techniczna. Niebawem ruszą z kopyta – zapewniają władze miasta, które wydały na ten ruch 4 mln zł. Wybudować trzeba jeszcze zadaszenie. Przez pięć lat schody będą galopować z dołu do góry – zapewnią w gwarancji chiński ich wytwórca. Bo o to oznacza, że temat będzie jeszcze długo żywy.

■ Działająca w Gdańsku Piekarnia Paryska ogłosiła upadłość po 17 latach działalności. „Powodem tak dramatycznej decyzji są drastyczne podwyżki cen gazu ziemnego i energii elektrycznej” – poinformowali właściciele Jarosław i Dariusz Wrocławscy. Naszym zdaniem powód bankructwa jest zupełnie inny. Jak ktoś przez 17 lat nie nauczył się robić gestu w piekarnictwie, to rzeczywiście czas upaść.

■ Leśnicy z nadleśnictwa Krzysztołowice wykryli w rejonie inwazyjny gatunek szopa z Ameryki Północnej. Szopy to wrogowie naszych kurek leśnych, dziuplaków, drożdów, ptaków siewkowych, wodnych i wodno-błotnych. Amerykańskie zwierzęta kradną jaja i zagryzają młode. Dobrze, że wiadomo to na wstępie. Może powstrzymamy imperialistyczny proces amerykanizacji naszego kraju. Chociaż kwestia MacDonal-dów i Abramsów zakończyła się definitywnie na naszą niekorzyść.

■ W Urzędzie Miejskim w Lesznie skrócono eksperymentalnie wymiar pracy urzędników. Z 40 godzin tygodniowo na 35 przy zachowaniu tego samego uposażenia. Czyli pracują mniej za tyle samo. Mielibyśmy pomysł lepszy. Wydajność pracy mogłaby się podnieść, gdyby zwolnić 12,5 proc. tamtejszych biuralistów, co o tyleż procent obniżyłoby koszty osobowe urzędu ku uldze podatników.

■ Katowicka policja odmówiła interwencji w sprawie gwałtu w autobusie z Chorzowa do Katowic. Konkretniej – samogwałtu. 23-letnia pasażerka powiadomiła organa, że samogwałcono się w jej obecności. Miejscowe media ubolewają, że praktyki masturbacyjne wśród Ślązaków podróżujących komunikacją miejską są coraz częstsze.

■ Nienajlepsze wieści nadeszły z gminy Gniezno, gdzie budowana jest strategiczna droga o długości 2,7 km. Przetarg wygrała zacna spółka Strabag, która na takich budowach zna. Przedstawiła projekt i kosztorys na 15 mln zł. Jest to dla Gniezna spora kwota. Nie mogłaby być wydatkowana, gdyby nie dotacja z Rządowego Programu Inwestycji Lokalnych na 11,5 mln. W trakcie prac budowlanych okazało się, że most nad rzeką Welnianką nie może być wybudowany



Rys. MIROSŁAW HANOS

według zakładanej technologii. Konstrukcja wymaga wbić w dno rzeki 600 pali o długości od 8 do 25 m po obu przyczółkach. To kosztować musi dodatkowe 7 mln zł. To podwyższa wartość inwestycji o 45 proc. Wójt gminy uważa, że to niczyja wina. Przetarg odbył się zgodnie z zasadami. W gestii i kompetencji gminy nie leży sprawdzanie poprawności projektu przedłożonego w konkursie. Wszystko się zatem zgadza z wyjątkiem pieniędzy, które nie wiadomo kto ma zapłacić. Gmina nie ma. Strabag grozi przerwaniem prac na strategicznej drodze, nie bacząc na szkody społeczne.

■ Fundacja Viva! nie daje spokoju koniom ciągnącym fasiaży na trasie Kuźnice – Morskie Oko. Domaga się aby koń, u którego wykryto ślepotę, natychmiast poszedł do rzeźni. Zdaniem społeczników zarówno przepisy o ruchu drogowym, jak i o ochronie zwierząt dopuszczają do pracy jedynie zwierzęta zdrowe i pełnosprawne. Niewidomy koń do takich się nie zalicza. O konieczności eutanazji konia działacze powiadomili w skardze Ministerstwo Klimatu i Środowiska. Górale chcący utrzymać konia przy życiu utrzymują, że koń pracuje już na tej trasie trzeci rok. Ma wystrzony słuch i bardzo dobrze współpracuje w parze z innym koniem. Nie trzeba go jeszcze zabijać.

■ O wielkim sukcesie mówią inżynierowie z Wojskowej Akademii Technicznej. Opracowali laserowy czujnik, który będzie można wykorzystać podczas szukania dowodów na istnienie życia na Marsie. Skonstruowanie urządzenia do badania Marsa, które nigdy się na tej planecie nie znajdzie, przystosowanego do szukania czegoś, czego tam nie ma?! Typowa manifestacja osiągnięć polskiej nauki i inżynierii!

■ Muzealnik Jerzy Brzozowski, dyrektor Muzeum Okręgowego w Suwałkach, został awansowany na porucznika Wojska Polskiego przez ministra obrony narodowej. Porucznik jest specjalistą od strategii i taktyki kawaleryjskiej, a także posiada wyjątkowe

hipiczne umiejętności w zakresie szarżowania w galopie. Niech nieśmiertelne stanie się jego imię (i nazwisko).

■ Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych poinformowało, że polska narodowa przestrzeń powietrzna została naruszona przez rosyjski balon w kolorze białym. Wszystkie nasze Jastrzębie F-16 poderwane zostały z lotnisk, a rakiety ziemia-powietrze przygotowane do powalenia intruza. Balon przeżył tylko dlatego, że strona rosyjska poinformowała polską armię, iż zgubili jeden balon. Po pięciu godzinach swobodnego dryfowania w przestworzach nad Polską balon odfrunął w kierunku Norwegii.

■ Lekarka z Poznania przepisała martwym pacjentom środki anestetyczne na bazie fentanylu za 450 tys. zł. Wystawiła 800 recept. Policja przypuszcza, że medykamenty jednak nie były aplikowane martwym, tylko żywym, którym doczesność się nie podoba. Oxycontin, Oxydolor, Reltebon działają przeciwbólowo i kojąco. Powodują metafizyczne halucynacje wzrokowe, przyjemne omamy czuciowe, zanik lęku oraz odmienne stany świadomości, cokolwiek miałyby to znaczyć. Takie chemicznie stymulowane poprawianie samopoczucia jest oczywiście nielegalne. Głównie dlatego, że może doprowadzić do śmierci zażywającego, po której już żadne narkotyki nie są potrzebne. Lekarce grozi osiem lat więzienia, gdzie o specyfiki rozweselające będzie jej naprawdę trudno.

■ Rozpoczęły się wakacje. Zgodnie z nieublaganymi prawami statystyki, w przeciągu najbliższych dwóch miesięcy, utopi się około 200 osób, a 450 zginie w wypadkach komunikacyjnych.

RJ

PS Informacje pochodzą z mediów lokalnych, więc za ich ewentualną nieprawdliwość odpowiedzialności nie bierzemy. Skoro zaprzętały uwagę prowincjonalną, warte być mogą i uwagi powszechne.

Bliźniacza telewizja

„Kursk” zatonął, Kurski jest niezatapialny. Duch byłego prezesa TVP trwa w PiS i jego elektoracie. Przez prawie osiem lat wyborcy ówczesnej partii rządzącej dostawali porcje codziennej strawy w postaci propagandowej papki serwowanej przez „Wiadomości” i programy publicystyczne. Pracownicy mediów Kurskiego utuczyli się na państwowym.

Po przegranych wyborach eldorado się skończyło. Mając prawie dekadę nieograniczonych możliwości finansowych, politycznych i logistycznych nie stworzyli jednak alternatywy w postaci dużego medium, które mogłoby konkurować z największymi telewizjami w kraju.

Jacek Kurski po przegranych wyborach przygotował słynny raport, z którego wynika, że PiS przegrało wybory głównie dlatego, że się go (Kurskiego) pozbawiono. Ci, którzy przejęli telewizję publiczną po nim, nie wykonali zadania. „Kura” nie jest osobą lubianą przez polityków partii Kaczyńskiego. Nienawidzą go po równo Morawiecki i Duda, a teraz mają mściwą satysfakcję, że nie dostał się do europarlamentu. Były premier stwierdził nawet, że Jacek Kurski był „kulą u nogi” obozu Zjednoczonej Prawicy i warto by się zastanowić, czy „bez krzykliwej, napastliwej, agresywnej polityki telewizji publicznej wynik wyborów parlamentarnych nie byłby jeszcze lepszy”. Morawieckiemu ta propaganda by zapewne nie przeszkadzała, gdyby tylko Kurski traktował go inaczej. Tymczasem w TVPiS zarówno Duda, jak i Morawiecki byli marginalizowani na rzecz tych polityków, których „Kura” darzył większą sympatią. „Proszę mnie nie pytać o pana Jacka Kurskiego. Sześć sekund naprawdę wystarczy” – powiedział Morawiecki po wyborach europejskich nawiązując do wytycznych wydanych rzekomo przez Kurskiego, by najwyżej tyle czasu poświęcać premierowi w programach TVP. „W wyborach, których twarzą jest Morawiecki, PiS bierze trzydzieści kilka procent, gdyby nie on – czterdzieści kilka procent głosów. To jest różnica taka jak między władzą a jej utratą” – pisał z kolei Kurski w raporcie dla prezesa. Bardzo szorstka przyjaźń.

Po odbiciu TVP przez nową ekipę pałeczkę przejęła Telewizja Republika, czyli audiowizualna odnoga mediów Tomasza Sakiewicza, naczelnego „Gazety Polskiej”. To tam poszli pozbawieni pracy „dziennikarze”, tam również w dużej mierze odpłynęli widzowie kochający Holecą, Rachonia czy Kłęczka. Republikę promował sam Kaczyński, zwłaszcza gdy grzali temat Kamińskiego i Wąsika. Tło wyjaśniał red. Andrzej Stankiewicz w internetowej audycji „Stan Wyjątkowy”: „Generalnie jest tak, że spółki z rodziny Srebrna są finansowo zaangażowane w cały projekt dotyczący Telewizji Republika. Jarosław Kaczyński »Gazetę Polską« i »Gazetę Polską Codziennik« i Telewizję Republikę traktuje jak swoją własność. Najazd ludzi z tego środowiska na TVP Info był ewidentny. Oni teraz wracają do korzeni”.

Po przegranych wyborach Kaczyński postawił na Republikę, choć zarazem dał do zrozumienia, że ma większe plany. „Dzisiaj mamy Republikę, chociaż Republika nie wszędzie dociera, no i ma bardzo niewielkie środki, to jest dopiero taki początek telewizji. Uczynimy wszystko, żeby po pierwsze, wygrać walkę o telewizję publiczną w Polsce, ale po drugie, stworzyć także prywatną dużą telewizję, która będzie wolna” – mówił w styczniu w Lublinie.

Prezes pomijał inne medium pisowskie, jakim jest internetowa telewizja wPolsce.pl, której szefują bliźniacy Jacek i Michał Karnowski. To internetowa siostra tygodnika „Sieci”, który za ludniąją okolicznością politycy i dziennikarze. Telewizja bliźniaków Karnowskich może teraz wypłynąć na szersze wody, gdyż kontrolowana przez poprzednią władzę Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji przyznała Fratrii, czyli spółce Karnowskich, koncesję na nadawanie naziemne, gdzie medium będzie funkcjonować jako wPolsce24. Tego samego dnia taką samą koncesję otrzymała Telewizja Republika. Kaczyński dba, żeby się Sakiewicz za bardzo nie rozbrzykał. Przeciwno decyzji KRRiT zaprotestował jeden z jej członków, prof. Tadeusz Kowalski. „W mojej ocenie nastąpiło to z naruszeniem zasady dochowania należytej staranności wynikającej z braku wystarczającej informacji o wnioskodawcach i zignorowaniu niektórych opinii ekonomicznych” – napisał w oświadczeniu.

Pomijani dotychczas Karnowsky mogą czuć się w końcu docenieni. Za czasów „światłości” TVP Info niemalże nie wychodzili ze studia, komentując bieżące wydarzenia tak, żeby zawsze było wiadomo, że PiS jest super, a opozycja zła. Po wypęczeniu z Woronicza pisowskich niedobitków zostali ze swoją telewizją, rozpaczliwie próbując sobie zjednać łaskę Nowogrodzkiej.

Telewizja Karnowskich oraz ich tygodnik „Sieci” to chyba jedyne media, gdzie – poza własnymi – gości Rydzyk. Niedawno znowu udzielił Michałowi Karnowskiemu wywiadu, w którym potwierdził znaną historię o samochodach od bezdomnego. Córka pana Stanisława jest ponoć celebrytką i mieszka w Warszawie, ale on nie ujawni nazwiska. Przy okazji rozprawił się z mitem, jakoby jeździł wypasionymi furami i zaprezentował Karnowskiemu Toyotę Auris, którą użytkuje na co dzień. Pokazał też oranżerię w sąsiedztwie Radia Maryja, którą ponoć chciał kupić Jerzy Urban.

Gwiazdą telewizji jest też Aleksandra Jakubowska, niegdyśjsza „Iwica lewicy” i bohaterka afery Rywina. Nikomu nie przeszkadza jej komusza i aferalna przeszłość, ważne że teraz stoi po dobrej stronie. Takie to wartościowe treści serwują swoim widzom bracia Karnowsky. Mamy w Polsce szczęście do bliźniaków, których nazwiska zaczynają się na K.

Zarówno wPolsce.pl jak i Republika wpisują się w myślenie Jarosława Kaczyńskiego o mediach. Prezes PiS nie rozumie idei wolnych mediów, bo według niego wszystkie są od kogoś zależne. A skoro już tak jest, to lepiej, żeby były zależne od niego niż od jego przeciwników. Pisał o tym choćby Piotr Zaremba, dziennikarz prawicowy, w książce „O jednym takim... Biografia Jarosława Kaczyńskiego”. „Kaczyński ma trudności ze zrozumieniem niezależności na bardzo pierwotnym, psychologicznym poziomie. Wizja człowieka, który mając ugruntowane przekonania, być może nawet bliskie jemu, zadaje trudne pytania każdej ze stron, czy nie chce nikomu przyznać racji w stu procentach, jest dla niego sprzeczna z naturą lub maskującą jakieś fundamentalne, choć nie do końca rozpoznane oszustwo” – twierdzi Zaremba. Media Karnowskich i Sakiewicza doskonale się w tę wizję wpisują.

MATT KOBOSKO



Grajcie Panu za Bóg zapłać

A gdyby tak wprowadzić sztucznych klechów?

Księża katolicki wszelkie transakcje finansowe, z których pieniądze nie idą na ich prywatne konto, traktują jak zło konieczne. Ciągłe utyskiują, jak to drogie jest utrzymanie kościoła, że rujnują ich rachunki za media, o remontach nie wspominając. Do tego dochodzą daniny wymagane przez biskupa na funkcjonowanie kurii, seminarium i całej infrastruktury diecezjalnej. Pleban ciągle na coś zbiera zgodnie z zasadą, że nie chodzi o to, żeby zebrać, ale żeby zbierać. Rachunki za prąd czy wodę płacić trzeba, bo odłączyć. Kurii też należy oddać co kuriewskie, bo przeniosą na gorszą parafię albo wyrzucią. Nieco inaczej jest z ludźmi. Świecki personel parafii i zakonnice są na samym dole w porządku dziobania.

Kto pracował z księżmi, ten się w cyrku nie śmieje. Klechom w głowie się nie mieści fakt, że ludziom, którzy nie noszą sutanny, też trzeba płacić, bo mają takie same żołądki. Traktują jako oczywistość, że jak ktoś robi coś w kościele, to na chwałę Pana i nie powinien odmagać się pieniędzy. Na wzmianki o uregulowaniu należności reagują oburzeniem, świętym oczywiście. Głupi nie są, tylko udają. Doniosłością wypełnianej przez siebie misji maskują zwyczajny wyzysk. Tak się przyzwyczaili, a część ludzi się na to łąpie. Świątynie są sprzątane w ramach „przymusowego

wolontariatu” – wyznaczone przez proboszcza wsie lub osiedla muszą wydelegować kogoś do utrzymania czystości w kościele. Ten odmaluje, tamten skosi trawnik, jeszcze inny odśnieży. I nic to, że Pan Jezus powiedział, że „godzien jest robotnik zapłaty swojej”.

Szczególnym złem są dla kleru organiści. Z jednej strony księża chcieliby, żeby msza miała piękną oprawę muzyczną, która przyciąga więcej ludzi do kościoła, a z drugiej chcieliby to mieć po tanioci lub najlepiej darmo. Gdy Katolicka Agencja Informacyjna wrzuciła na Facebooka newsa o tym, że Forum Muzyków Kościelnych stanowczo nie zgadza się na obecność sztucznego organisty w kościołach, rozpało to dyskusję.

Sztuczny organista to nic innego jak automat zastępujący człowieka w graniu i śpiewaniu. Po prostu muzyka puszczana z głośników, kościelne karaoke. Włącza się pilotem odpowiednią pieśń i gotowe. Sztuczny organista ma ten oczywisty atut, że nie prosi o podwyżkę ani o żadną wypłatę. Wystarczy zapłacić raz przy zakupie. Nie kłóci się, nie stawia warunków, nie strzela fochów, a podstawową rolę spełnia – ot, kościelny odpowiednik wibratora. Wielu duchownych uznaje ten argument za niepodważalny w dyskusji nt. muzyki w kościele, nie bacząc na to, że przepisy kościelne stanowią inaczej. „Instruk-

cja Episkopatu Polski o muzyce liturgicznej po Soborze Watykańskim II” wyraźnie mówi że „muzyka w czasie sprawowania czynności liturgicznych winna być wykonywana »na żywo«, dlatego nie wolno zastępować śpiewu zgromadzonych lub gry na instrumentach muzyką odtwarzaną za pomocą aparatów, np. magnetofonu, adapteru, radia itp.”. Księża są drobniagami i przepisy tylko w sprawach natury seksualnej, w innych sferach okazują się znacznie bardziej liberalni i elastyczni.

W facebookową dyskusję włączył się jeden z księży diecezji płockiej, który napisał to, co wielu jego kolegów myśli. „Ok. To poproszę, by organiści zgodzili się na pracę charytatywną. Czy jesteście świadomi, że zarzynacie parafie?” – apelował do sumień muzyków. Parafii nie zarzynają pobory proboszczów, luksusowe plebanie czy nowy samochód co dwa lata. Do ruiny Kościół doprowadzają organiści.

Przedstawiciele tego zawodu się oburzili. Na co dzień muszą się użerać z proboszczami i niejedną batalię stoczyli, ale księża mogliby przynajmniej udawać, że szanują ich pracę. Krótki wpis ks. Tadeusza wywołał burzę w środowisku organistowskim. Muzycy nie pozostali dłużni klerowi i nie szczędzili duchownym „ciepłych” słów. Wpis księdza zniknął bardzo szybko, zapewne po interwencjach w kurii, ale niesmak pozostał.

– Wypowiedź tego człowieka jest żałosna – mówi tygodnikowi „NIE” Tomasz Wasek, wieloletni organista. – Można założyć, że poproszony o to mu-

zyk kościelny zgodzi się na współpracę opartą o wolontariat, ale nie można tego od nikogo wymagać. Smutny jest komentarz tego księdza stwierdzający, iż organista zarzyna parafię. Świadczy o wielu różnych płaszczyznach tego problemu. Kościelny budżet oparty jest na wzajemnej trosce o bieżące potrzeby, ale zapewnienie płynności obowiązuje przede wszystkim w przypadku kurii. Każda parafia zobowiązana jest prze-

znaczyć znaczną część swoich regularnych dochodów na potrzeby biskupa i jego administracji, co nie pozostaje bez znaczenia dla wielu innych wydatków – stałych opłat za media, podatków, kosztów utrzymania budynków parafialnych, remontów oraz zatrudnienia pracowników. Powszechnie znany jest przecież powód intensywnych starań o utrzymanie lekcji religii w publicznych szkołach – w ten sposób przenosi się ciężar utrzymania świeckich oraz duchownych katechetów na lokalny samorząd. Organista może, ale nie musi zostać zatrudniony jednocześnie jako nauczyciel. Jeśli nie – głównym jego pracodawcą i płatnikiem świadczeń w ZUS pozostaje parafia. Szereguje się go razem z innymi pracownikami, najczęściej z kościelnymi. Dość niska świadomość kultury artystycznej i muzyki prowadzi często do pomniejszania znaczenia zasług organisty i w tym zestawieniu staje się on po prostu dodatkowym kosztem czy wręcz ekstrawaganckim wydatkiem parafii – podsumowuje muzyk.

Św. Augustyn miał powiedzieć, że kto śpiewa, ten dwa razy się modli. Bardzo lubią to cytować księża. W polskich warunkach należy uzupełnić tę regułę: kto śpiewa zawodowo, może i dwa razy się modli, ale ani razu nie zarabia. Duchownym zaś należałoby przypomnieć, że prototypy automatycznych duchownych też już istnieją. Kto sztucznym organistą wojuje, od sztucznego klechy ginie.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com



Ordynariusz obłudy

Nim wyjdzie biskup, pastor, rabin pobłogosławić twój karabin

Urban mawiał, że Kościół to fałsz. Nie rozwijał tego osądu, co i szkoda. Zapewne mogło mu chodzić o to, że Kościół rzymskokatolicki edycji polskiej jest jak fałszywy banknot stużłotowy. Taki dobrze sfalszowany banknot, podobnie jak prawdziwy, wykonany jest z papieru, też ma nadruk 100 złotych oraz króla Władysława Jagiełłę, a ludzie wymieniają się nim bez specjalnych oporów. Jedni z niewiedzy. Inni z egoizmu. Skoro mi zapłacono fałszywą stużłotówką, no to ja też mogę nią zapłacić. Skoro wszyscy uważają fałszywą setkę za prawdziwą, jaki to tak naprawdę problem, że jest fałszywa? Co to za różnica? Tym samym fałsz pozostaje w obiegu przez długie lata. W przypadku katolicyzmu to będzie jakieś dwa tysiące. Ludzie przypuszczają, że to może być lipna religia, ale skoro zawsze tak przypuszczali i na pierwszy rzut oka nic złego się od tego nie dzieje, dlaczego nie?!

Myśl ta przyszła mi do głowy na wieść, że największy hipokryta polskiego Kościoła z najbardziej obłudnej diecezji, biskup połowy Wiesław Lechowicz (to taki nowy Głódź) zadeklarował, że będzie się osobiście modlił za zabitego na granicy żołnierza, przypominając jednocześnie, że rola Ordynariusza Polowego Wojska Polskiego będzie rosła. Znaczą: dajcie mi forsz.

Historia herezji

Wadą europejskiego Kościoła, który kontynuuje zwyczaj pochodzące z czasów przedchrześcijańskich, jest i była zawsze pozorowana niezależność wobec władzy państwowej. Większość starożytnych wojen miała podłoże religijne (albo quasi religijne). W każdym razie przywilej rżenia pierwszej dzidy na terytorium wroga w wielu kulturach przypadał kapłanowi. Uświęcał tym gestem rzeczywiste zbrodnie czynione rzekomo z woli boskiej. Żaden z kościołów białych ludzi nigdy nie był na tyle odważny, aby zaryzykować pełną niezależność, a i również wyrzec się ogromnych korzyści, jakie czerpał z toksycznych jednak sojuszy tronu i krzyża, a także krzyża i miecza. W związku z tym religie chrześcijańskie nigdy nie pełniły fundamentalnie należnych im funkcji. Były ważkim instrumentem w rękę polityki.

Religia zawsze traktowana była przez rządzących instrumentalnie (mistrzem tej sztuki było pódziabie znane jako Napoleon Bonaparte). Jeżeli władza rzucała społeczeństwu na rzeź pod hasłami „Boga, honoru i ojczyzny”, no to widać, że to co najważniejsze (ojczyzna) jest w tym frazeologizmie na ostatnim miejscu, ale Bóg jest na pierwszym. Żołnierz idący do ataku lepiej się czuje, mając przeświadczenie, że walczy w imię Najwyższego. Sciskając w jednym ręku karabin, a w drugim różaniec, zostawał zastrzelony w pełnym przekonaniu, że czuwała nad nim Opatrzność. Niestety nad tym, który go zabił, czuwała ona bardziej. Ale to już bez znaczenia.

Święty antychryst

Wojna jako seryjne morderstwo jest fundamentalnie sprzeczna z ideą chrześcijaństwa i nie da się jej w uczciwy sposób na gruncie tej doktryny usprawiedliwić. Trzeba było nie lada umysłu św. Augustyna, który w czasach, kiedy zabronione było kapłanom noszenie broni, wymyślił, że wojna może być sprawiedliwa i niesprawiedliwa. W sprawiedliwej wolno katolikom brać udział. Pogląd to w istocie mefistofeliczny, ale się przyjął, bo przyniósł go na świat święty filozof. Na tym paralogicznym argumentem operają się wszystkie ordynariaty polowe europejskich armii od setek lat. Jest on zarazem fałszem pojemnym i uniwersalnym. Kłamstwem dla kościoła pożytecznym.

Nasz rodak Justus Rarkowski, urodzony w Olsztynie biskup katolicki i naczelny kapelan Wehrmachtu w dniu napadli Niemiec na Polskę na-

pisał: „Towarzysze! W poważnej godzinie, kiedy nasz naród musi przejść przez okres próbny i rozpocząć walkę o swoje naturalne i nadane mu przez Boga prawo do życia, ja, jako katolicki biskup polowy Wehrmachtu, zwracam się do Was, żołnierze, którzy na froncie tej walki mają wielkie i zaszczytne zadanie ochrony i obrony mieczem bezpieczeństwa i życia narodu. Twoje zaangażowanie opiera się na świętej powadze, wielkim celu i obowiązku. Każdy z Was wie, jaka jest stawka w tych burzliwych dniach naszego narodu. W tej operacji każdy z Was widzi przed sobą świetlisty przykład prawdziwego wojownika, naszego przywódcy i najwyższego dowódcy, pierwszego i najodważniejszego żołnierza Wielkoniemieckiej Rzeszy, który teraz patrzy na ciebie na froncie bitwy”.

Zakładam, że Rarkowski nie był skończonym obłudnikiem. Zapewne wierzył, że w Polsce straszliwie jest uciskana ponadmilionowa mniejszość niemiecka i obrona rodaków przez Hitlera jest słuszną.



Potem było mu jeszcze łatwiej w sprawie tej sprawiedliwej wojny.

Niemieckie czołgi ruszyły na Paryż przeciw w defensywie. Wszak to Francuzi i Anglicy wypowiedzieli Niemcom wojnę, a te z bożej łaski przystąpiły do obrony.

Swastyka na ołtarzu

II wojna światowa to najbardziej haniebnym epizod w historii niemieckiego i rzymskiego Kościoła. W gruncie rzeczy to papież, a nie Hitler wysłał na fronty pułk złożony z księży (tak zwaną postługę duszpasterską w mundurach Wehrmachtu) świadcząco prawie 1000 duchownych). Ojciec święty wcale nie musiał. Chciał również dlatego, że siedział w kieszeni Mussoliniego.

Do czasu zakończenia wojny żaden niemiecki ksiądz nie potępił hitlerowskiego reżimu za jego jawnie barbarzyńską i zbrodniczą ideologię. Prawiąc homilie, księża koncentrowali się na cierpieniach wywołanych przez alianckie naloty, tragedii matek, które straciły na frontach synów. Flagi ze swastyką przyozdabiały ołtarze. Kiedy Rosjanie zajęli Prusy Wschodnie, kościół z zapalem przekonywał wiernych, że Niemcy prowadzą wojnę obronną. Wznosił modły, aby udało się zatrzymać zalew bolszewickiej zarazy, której tak naprawdę mógł zarzucić tylko jedno – bezbożność. Tak to mniej więcej się dzieje, kiedy dla wygody i doróżnych korzyści stajesz się miękki i rezygnujesz z fundamentalnych zasad.

Czy to nauczyło czegoś jego świętobliwość tą lub poprzednią lub jeszcze poprzednią? Nie! Panowie papieżu nadal nie widzą niczego zdołnego w tym, że podlegli im bezpośrednio duchowni zasiadają w mundurach we wszystkich ordynariatach połowych Europy. Oczywiście zadaje to kłam twierdzeniu Stalina, który retorycznie zapytał: „Ile papież ma dywizji?” Można by dziś odpowiedzieć generalissimowski, że całkiem sporo.

Formacja w rozsypce

Wróćmy jednak do naszego oberkapelana. Ten ma tę zaletę w wojsku bardzo potrzebną, że gdy-

by zrobiono konkurs na najmniej inteligentnego członka Episkopatu, zdeklasowałby wszystkich.

Ksiądz biskup po prostu pieprzy w każdej homilii, które mają mniej więcej tę samą konstrukcję: katastrofa smoleńska była wielką narodową tragedią, a dokonała się w sobotę w oktawie Wielkanocy, kiedy w naszych świątyniach czytano fragment ewangelii mówiący o spotkaniach Chrystusa zmartwychwstałego z Marią Magdaleną, z uczniami uciekającymi do Emaus i z apostołami zgromadzonymi w wieczerniku. Czuliśmy się podobnie jak apostołowie po śmierci Jezusa. O katastrofie smoleńskiej w mowie wygłoszonej w jej rocznicę nie ma już dalej słowa.

Najważniejszym spotrzeżeniem Lechowicza w mowie z okazji bitwy pod Monte Cassino jest, że odbyła się ona w wigilię Zesłania Ducha Świętego. Duch Święty sprawił, że apostołowie zaczęli mówić językiem zrozumiałym przez przedstawicieli innych nacji. Po pierwsze nieprawda, po drugie nikogo to nie obchodzi. Goniłwa myśli, parada niejasnych i nietrafnych skojarzeń, poplątanie z pomieszaniem i nagromadzenie dowolnych odniesień. Zajeżdżone na śmierć metafory i brak choćby jednej oryginalnej myśli. Określenie „trep” na żołnierza zawodowego pasuje biskupowi Lechowiczowi jak mitra.

Co więcej, podkomendni biskupa, których jest obecnie 170, mający odegrać „rosnącą rolę” na przedmurzu chrześcijaństwa, wydają się jacyś tacy niedoszkoleni. Większość ma wydatne brzuchy, powłóczy nogami, drobni kroczyli. Niewysportowani. Niekompetentni w sprawach wojskowości. No i oczywiście zagubieni.

W czasach komunii, kiedy kościół tak nie palił się do armii, księży szkolono w specjalnych jednostkach wojska. Teraz, kiedy lgną do munduru z jakimś chorym powołaniem, obowiązku wojskowego żadnego nie mają.

Konieczność reform

Ksiądz dowódca powinien zacząć chyba od wprowadzenia do seminariów przysposobienia obronnego z elementami musztry i samoobrony. Nie godzi się, żeby kapłan żołnierz nie potrafił maszerować i salutować. Znajomość obsługi armaty też by alumnom nie przeszkodziła. Sztuka walki wręcz była wszak swego czasu rozwijana przez buddyjskich mnichów. Opracować by należało naszą narodową szkołę samoobrony, walki różańcem taktycznym i bojowym krucyfiksami na podobie żydowskiej krav magi. Z elementami podduszania wroga kapłańskim cingulum w barwach narodowych. Nie może być tak, żeby kapłan bezradnie patrzył na śmierć kolegi żołnierza, nie mogąc chwycić za karabin maszynowy. W ogóle wysyłanie na front ludzi, którzy nie wachali prochu, jest poważnym zaniedbaniem przeciw przykazaniu „nie zabijaj”.

Doskonalić też należy kwestie związane z tak zwaną postługą kapłańską, w której na polu walki i w warunkach konfliktu współcześni kapłani nie mieli okazji praktykować. Oczywiście ćwiczyć się w aktorskich metodach wyrażania współczucia przy okazji każdego pogrzebu i namiętnego rozpamiętywania narodowych tragedii.

Ale prawdziwa wojna to zupełnie co innego. Czy kapelani przygotowani są psychicznie na obrzędowanie nad zbiorowymi mogiłami jeszcze ciepłych ciał? Trzeba będzie rozstrzeliwać dezertów i szpiegów oraz wieszać zdrajców. Nic nie wskazuje na to, aby ordynariat połowy miał stworzone na takie okoliczności procedury, wyszkolone kadry oraz ustandaryzowane modlitwy.

Ale, mówiąc poważnie, najlepszą rzeczą, jaką ksiądz biskup Lechowicz mógłby w sprawie ordynariatu połowego zrobić, to zwrócić się do papieża z inicjatywą rozwiązania tych formacji. Pokojowi światowemu zdecydowanie pomogłoby, gdyby chrześcijanie sukienkowi wreszcie przestali popierać wojny.

ROBERT JARUGA

robert.jaruga@doborowa.com.pl

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Kochane dzieci, Matka Boża objawia się dzieciom. W Fatimie objawiła się dzieciom, w Gietrzwałdzie objawiła się dzieciom. Dlaczego Matka Boża objawia się dzieciom? Dzieci nie mają jeszcze paskudnych grzechów. (...) **Jezus powiedział o gorszytelach, że gdyby kto jedno dziecko zgorszył, to lepiej, żeby przywiązali mu kamień młyński do szyi i zatopili w głębokościach morskich. Bardzo ważne jest to, aby strzec dzieci. To jest apel do dorosłych. Teraz w szkole idzie zgorzenie, idzie przez cały świat. Strzeżcie dzieci, bo wszyscy mamy jedną drogę do nieba.**

o. Tadeusz Rydzik, pielgrzymka Podwórkowych Kót Różańcowych Dzieci na Jasną Górę, 16 czerwca

■ „**Krzyż! To Polska!**” – czy tak będzie zawsze, kochani? **Czy ludzie uciekający przed złem bezbożnictwa rozpoznają ojczystą ziemię po tym świętym znaku?** Czy nam samym – mieszkańcom tej ziemi – nie zabraknie determinacji, aby w krzyżu zwyciężać złu niewiarę, demoralizację, wewnętrzne zniewolenia? (...) **Coraz częściej Europejczycy doświadczają braku nadziei, a jedną z poważnych przyczyn „gaśnięcia nadziei jest dążenie do narzucenia antropologii bez Boga i bez Chrystusa”.**

ks. bp. Tadeusz Bronakowski, Radio Maryja, 16 czerwca

■ Jedną z głównych przyczyn **odchodzenia ludzi od Boga i Kościoła – oprócz kryzysu wiary – jest kryzys myślenia.** Polega on na postrzeganiu świata przez pryzmat emocji.

ks. Janusz Chyła, X, 20 czerwca

■ Dziś na skutek dewastacji edukacji niewielu młodych i starszych ludzi pamięta o tym, kim był legendarny Pawlik Morozow. Niewielu pamięta powieść o tym, jak hartowała się stal w Związku Radzieckim, ale za to wielu zna małą dziewczynkę Gretę Thunberg, która uciekała ze szkoły, by ratować świat i burzyć stary nieekologiczny ład. **Dziś prawie każde dziecko w Unii Europejskiej zna cele Zielonego Ładu i przeżywa mocno plan budowy zrównoważonego rozwoju Europy. Plan budowy zrównoważonego rozwoju Europy zakłada – podobnie jak sowiecka bajka o raju na ziemi – nie tylko bezbożnictwo, rozbite rodziny, ruinę własności i suwerennych państw, ale także całą przemianę ludzkiej obyczajowości, kultury, wszystkiego, co do tej pory tworzyło Europę”.**

prof. Paweł Skrzydlewski, Radio Maryja, 15 czerwca

■ Cały rok **szczują na katolików, promują antychrześcijańskie ideologie, usuwają krzyż, chętnie się aborcją, będąc zwolennikami cywilizacji śmierci. Teraz emocjonalnie szantażują wierzących, wyrывая z kontekstu cytaty Biblii o pomocy potrzebującym.** Jak diabeł na Górze Kuszenia.

ks. Daniel Wachowiak, X, 16 czerwca

I POMYŚLEĆ, ŻE KIEDYŚ ZACZYNAŁEM JAKO ZWYKŁY PLEMIK



■ Dlaczego właściwie wiara chrześcijańska prawie nie dociera obecnie do człowieka szeroko rozumianego Zachodu? (...) Dzisiaj zdaje się spełniać na naszych oczach pragnienie Fryderyka Nietzschego: **zaczęto atakować chrześcijaństwo frontalnie, totalnie i nareszcie we właściwy sposób, z godną szatanu perwersją** – oto Ewangelie jako przemocny program Jezusa, głoszący „mowę nienawiści”, w plemiennym języku pogardy i wykluczenia, skutkują powstaniem amoralnej religii i zdeprawowanym wszechstronnie kościoła. Żeby żyć w sposób wolny i moralny trzeba strząsnąć ten wrogi radości życia nieludzki ciężar. (...) Kościół nie jest zły dlatego, że jakiś jego funkcjonariusz popełnił błąd bądź przestępstwo, ale jest zły, bo jest zły z istoty, od korzenia. Dlatego trzeba odesłać go do lamusa, ba, do narożnika. **Dlatego opitowywanie go jest aktem wyższej moralności. To konsekwencja głównego pasma kultury Oświecenia.**

ks. prof. Jerzy Szymik, Opoka.org.pl, 19 czerwca

KLECHA

IDALIA DUBICKA

Twój Lolek

Anno-Tereso!
 Tęsknię niewymownie, chcę zagłębić się w Ciebie jak Jan ewangelista w tajemnice winnicy. Jezus mówi: „Ja jestem krzewem winnym, wy – latoroślami” (J 15, 5). Ja pytam, czy mogłabyś mi przysłać skrzynkę Haut-Sauternes Chateau Trillon? Nie dość, że od krajowego asortymentu pieczę mnie przy sikaniu, to ceny powarowały. Zanim skrytykujesz, pamiętaj, że najbardziej oczywistym wywarem Eucharystii jest uczta. Bóg z Tobą, Jagnięcinko.

Anno,
przykładając się do Twojej prośby, po modlitwie i rozważeniu tego przed Panem, zacząłem mówić ludziom, co o nich myślę. W rzeczywistości bowiem „wraz z Maryją, Matką Chrystusa, stojącą pod Krzyżem, zatrzymujemy się przy wszystkich krzyżach współczesnego człowieka” („Salvifici doloris”, 31). Masz rację, że prawda jest najwazniejsza, a siniaki przecież schodzą już po tygodniu. Pamiętajsz, kiedy pisałem Ci, że czuję jakby każdy mój ruch śledziły oczy ukryte w murach Stolicy Piotrowej? Śmiałaś się, Owieczko, że wpadam w paranoję, mam urojenia. Tymczasem to Stasiu Dziwisz chodzi za mną krok w krok, już nawet się z tym nie kryjąc. Przyłapałem go, jak wybierał moje włosy z grzebienia, dwa razy namawiał mnie do utoczenia krwi. Dla zdrowia – podkreślał z dziwną miną, a z kieszeni wystawiały mu moje skarpetki. Martwię się o niego i polecam opiece Bożej. Poetycki styl narracji Księgi Rodzaju dobrze wyraża zdumienie człowieka w obliczu ogromu stworzenia oraz płynące stąd uwielbienie dla Tego, który wszystkie rzeczy wyprowadził z nicości. Nie jestem godzien, by móc go naśladować, choć chciałbym podobnie wyrazić mój zachwyt dla Ciebie. Wiedz, że choć jestem wiemy wszystkim moim kobietom, do Ciebie zawsze wracam myślą najbardziej ciepłą.

Trzeba jednak powiedzieć, że – co wiele mówi o Trzeciej Rzeszy – dla licznych księży-hitlerowców opowiedzenie się za narodowym socjalizmem było podyktowane karierowiczostwem, chrapką na stanowiska państwowe i kościelne. Najciekawszą być może grupą byli... degeneraci. Tacy, co mieli problem z chłaniem sznapsa lub mieli w dupie celibat. Naziści zdawali sobie z tego doskonale sprawę: Hanns Kerrl, minister Rzeszy ds. wyznań, przestrzegał, aby księża

Rys. 1. Obrazek z napisem "RYS. 1. OBRAZEK Z NAPISEM 'RYS. 1. OBRAZEK Z NAPISEM'"

Księża Führera, księża Prezesa



„nie traktowali partii jako parawanu”, tarczy chroniącej przed gniewem diecezjalnych przełożonych.

Znana śpiewka

Trzeba przyznać, że wielu katolików, którzy słuchali podczas niedzielnych kazań w kościołach tyrad klechów tropiących demoralizację i czerwoną zarazę komunizmu, w Hitlerze mogło zobaczyć kogoś, kto mówi, co im w duszy gra, zbawcę Niemiec, brunatnego mesjasza.

Führer grał zręcznie na wielu fortepianach. W programie NSDAP zawarto stwierdzenie, że nazizm akceptuje „pozytywne chrześcijaństwo”. W marcu 1933 r. w Reichstagu Hitler zapewnił, że chrześcijaństwo będzie stanowić fundament narodu niemieckiego. Kilka dni później biskupi niemieccy znieśli zakaz należenia do partii nazistowskiej, choć nie odwołali – co warto podkreślić – „potępienia poważnych błędów religijnych i moralnych” narodowego socjalizmu. Później były procesy pokazowe i kary więzienia dla księży oskarżonych – pewnie niektórzy faktycznie byli winni – o pedofilię czy cudzołóstwo.

Złożona postawa Kościoła katolickiego w czasach mającej trwać tysiąc lat – a nie trwającej nawet tysiąca tygodni! – Trzeciej Rzeszy, w dużej mierze była podyktowana obiektywnie ciężką sytuacją. Kiedy przeniesiemy się na wschód i parę dekad później, do Polski dobrej zmiany, widać wyraźnie, że kler – zwłaszcza hierarchowie – zachowywał się w ciepłarnianych w porównaniu warunkach w sposób chwały mu nieprzynoszący, choć pieniądze przynoszący całkiem sporo.

Ale nie był to hołd, lecz wyrachowana inwestycja PiS-u i uczciwa zapłata – tylko, kurwa, czemu naszymi pieniędzmi? – za usługi wszelakie. To nie Kaczyński służy purpuratom, to purpuraci, surowo tresowani dyalektyką kija i marchewki, niczym kundle służą panu Prezesowi.

Arcybiskup agent

Można dokładnie umiejscowić w czasie i przestrzeni, kiedy PiS podporządkował sobie hierarchów, skądinąd łamiąc tak mu rzekomo drogi konkordat. Podstawową zasadą umowy Rzeczypospolitej ze Stolicą Apostolską jest wzajemna autonomia i niezależność wspólnoty politycznej i religijnej (państwa i Kościoła). W Warszawie na przełomie lat 2006 i 2007 prezydent Lech Kaczyński i ówczesne władze pisowskie pokazały Watykanowi figę i zmusi-

ły metropolitę warszawskiego abp. Stanisława Wielgusa do rezygnacji.

Lech K. faryzeuszowsko podkreślał, że jest prezydentem RP, Polakiem i katolikiem, toteż „Arcybiskup Wielgus, jeśli ten ingres będzie, został mianowany przez Ojca Świętego arcybiskupem Warszawy, więc ja tam być muszę”. I dodał, że Kościół jest autonomiczny, jeśli chodzi o takie decyzje jak powoływanie metropolitów. Najciekawszy był ów tryb warunkowy („jeśli”) i odczuwana konieczność podkreślenia tego, czego nawet zwykłe za komuny nie kwestionowano, czyli swobody wyboru hierarchów na najwyższe stanowiska.

Ale właśnie środowisko podległe bliźniakom z Zoliborza, niezastąpione psy łańcuchowe z „Gazety Polskiej” Sakiewiczza karmione kwitami z IPN-u, wyciągnęły Wielgusowi współpracę z wywiadem PRL. A ten radiomaryjny, konserwatywny abepe był takim frajerem, że przyznał się do współpracy.

Po latach nieszczęsny purpurat skarżył się „Naszemu Dziennikowi”: „Cały czas jednak trudne jest dla mnie do uwierzenia to, że tzw. katolicki dziennikarze wzięli w tym ataku na mnie zasadniczy udział”. Nie krył żalu wobec Lecha Kaczyńskiego i snuł spiskowe wizje o nieżyjącym już prezydencie: „widocznie był czymś straszony czy szantażowany, że podjął później takie, a nie inne decyzje. Ale według mojego przekonania, to były siły zewnętrzne, absolutnie nie kościelne i nie religijne, które skoncentrowały się na ataku na mnie. Ostatecznie Kościół został uwikłany w ogromną awanturę”.

Gdy kij spadł na najbardziej zasłużone, bo arcybiskupie plecy, i stało się jasne, kto tu rządzi, lata 2015–2023 mogły upłynąć pod znakiem marchewki, ale wszystko odbywało się wedle zasady: chwycić ich mocno za jaja, a ich serca i umysły będą podążać za tobą.

W służbie dobrej zmiany

Nie starczyłoby skóry wołowej, aby wymienić choćby pokrótce czołobitny wobec PiS-u akty strzeliste ze strony nie tylko zwykłych proboszczów witających prawych i sprawiedliwych wojtów w pierwszych ławkach kościelnych, lecz znanych w kraju hierarchów.

Krakowski abp Marek Jędraszewski najął się za szamana sekty smoleńskiej, która sączy od kilkunastu lat jad, zatruwając nasze społeczeństwo teoriami spiskowymi i wzajemną nienawiścią. W kwietniu 2023 r. spec od „tęczowej zarazy” w homilii wypowiedział haniebne słowa: „Oddajmy wspólnie hołd pomordowanym, po-

modlmy się nad ich grobami. Dziś wiemy, że musimy pomodlić się także nad grobami pomordowanych 13 lat temu pod Smoleńskiem. Stąd nasza dzisiejsza przenajświętsza eucharystia jako wielka modlitwa za ofiary zbrodni katyńskiej 1940 r. i (...) ofiary tragedii smoleńskiej: za prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, jego małżonkę, za pozostałe 94 osoby, które wtedy oddały życie za Polskę”.

Jeszcze lepszy był bp senior częstochowski Antoni Długosz (ten od „Ziarna” i dziwnych tańców z dziećmi). W trakcie pandemii, podczas Apelu Jasnogórskiego, wypalił ni mniej, ni więcej: „Obecnie dwaj przedstawiciele naszej władzy, wybranej przez większość Polaków, uosabiają charyzmat dwóch ewangelistów. Ewangelista Mateusz premier Morawiecki pochyla się nad egzystencją naszego narodu, by żyło się lepiej. Z kolei ewangelista Łukasz prof. Szumowski jest przedłużeniem czynów Jezusa, troszcząc się o nasze życie i zdrowie”.

PiS traktował Kościół katolicki jak dziecko ciasto z bakaliemi: w dupie miał strukturę, wybierał sobie co lepsze kaski, które karmił publicznym groszem, a raczej setkami milionów złotych. Ale jakby co, choćby w przypadku pedofilii, hierarchowie wiedzieli, że mają sporo za uszami, więc ich miłość do Jarosława Mądrego i Zbyszka Zera kwitła.

13 lipca 2017 r. wszedł w życie art. 240 kodeksu karnego, który przewiduje karę do trzech lat pozbawienia wolności dla osoby, która – mając wiarygodną wiadomość o przestępstwie (jego planowaniu, usiłowaniu lub dokonaniu) – nie zawiadamia o tym niezwłocznie organów ścigania. Na liście owych przestępstw znalazła się pedofilia. Rzecz jasna, ziobryści z Prokuratury Krajowej wydali opinię, że tuszowanie pedofilii przed datą wejścia w życie nowego prawa nie leży w polu zainteresowania oskarżycieli. Ale wiadomo, jakby co, interpretację można zmienić...

Doszło do tego, że teolog i dominikanin – z błyskotliwą karierą w Watykanie – Wojciech Giertych (z tych Giertychów), na łamach katolickiej „Więzi”, dobiegał tak: „Poważne grzechy społeczne polskiego Kościoła upodabniają go do rosyjskiej Cerkwi oddanej brutalnej władzy i pozbawionej etyki społecznej. Uczestnictwo w społecznym zakłamaniu dla korzyści doczesnych kępuje swobodę głoszenia Ewangelii”.

Jarosław Kaczyński zakończył definitywnie lata 90., kiedy politycy prawnicy pielgrzymowali do biskupów. Nastął czas rewizyt, a hierarchowie znaleźli się na krótkiej smyczy Prezesa. Dużo to mówiło i o Kościele, i o Polsce...

KAT

WIARA CZYNI CZUBA

1. W Derbencie i Machaczkale, w rosyjskiej, acz zdominowanej przez ludność muzułmańską republice Dagestanu nieznani sprawcy zaatakowali lokalne cerkwie i synagogi i wdali się w strzelaninę z policją. Ataki były wyraźnie skoordynowane, zamachowcy wyposażeni w broń szturmową. Zginęło co najmniej 20 osób, a 46 zostało rannych. Wśród zabitych są głównie policjanci, ale jest też czterech cywilów, w tym proboszcz cerkwi Wstawiennictwa Najświętszej Maryi Panny w Derbencie ojciec Nikołaj Kotielnikow. Na budynku synagogi w Machaczkale sprayem wypisano sury z Koranu odnoszące się do nawracania Żydów i chrześcijan, synagogę w Derbencie podpalono. Nikt nie przyznał się do ataku, ale na stronach powiązanych z Państwem Islamskim pojawiły się pochwały dla „braci z Kaukazu”.

2. Coroczne spotkanie Południowej Konwencji Baptystów – największej grupy protestanckiej w USA, zrzeszającej 50 tys. kościołów i 13 mln członków – przegłosowało potępienie dla procedury in vitro. W USA – podobnie jak w Polsce – walka z in vitro jest odłamek obsesji antyaborcyjnej, co dla normalnego umysłu jest kompletnie idiotyczne, ale dla religijnych zelotów ma sens, głównie polityczny. Zmierzają bowiem do prawnego uznania płodu za „osobę ludzką” wyposażoną we wszelkie prawa człowieka, co w konsekwencji ma doprowadzić do uznania aborcji za morderstwo. „Pary, które doświadczają rozdzierającego bólu niepłodności, mogą zwrócić się do Boga, poszukać w Piśmie Świętym licznych przykładów niepłodności i wiedzieć, że ich lament jest słyszany przez Pana, który oferuje współczucie i łaskę” – poradzili baptysty.

3. Serge Klarsfeld, 88-letni ocalały z holokaustu, ostatni legendarny francuski „łowca nazistów”, ogłosił, że będzie głosił na Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen. Albowiem, kiedy wybór jest między „partią antysemitką” – czyli lewicową koalicją krytykującą ludobójstwo w Gazie – a „partią prożydowską”, Klarsfeld „głosuje na partię prożydowską”. Wprawdzie wśród najbliższych współpracowników założyciela formacji, Jeana-Marie Le Pena, byli członkowie Waffen SS, ale Marine wyrzuciła tatuaż z partii i zmieniła nazwę z Frontu na Zjednoczenie, więc wszystko jest ok. Zapytany, czy nie przeszkadza mu rasistowski charakter partii, która otwarcie atakuje francuskich muzułmanów, łowca faszystów orzekł: „To nie mój problem! Nie mogę troszczyć się o wszystko, niech muzułmanie zatroszczą się o siebie”.

4. Republikański gubernator Luizjany Jeff Landry podpisał ustawę stanowiącą zobowiązującą szkoły publiczne do umieszczenia w każdej klasie plakatu o rozmiarach 35,56 na 27,94 cm, zawierającego dzień przysięgi przysięganą w wersji z Biblii Króla Jakuba, wydrukowanych „dużą, czytelną czcionką”. Ustawa jest w sposób oczywisty niezgodna z amerykańską konstytucją, ale republikanie w Luizjanie mają to w dupie, bo mają większość. Autorka usta-

wy kongreswoman Dodie Horton mówi z dumą: „Nie interesują mnie ateści, nie interesują mnie muzułmanie, interesują mnie nasze dzieci, które patrzają i widzą, jakie jest prawo Boże”. Zapytana, co powiedzieć dzieciom, kiedy zapytają, co to znaczy „cudzołóstwo”, odparła bystrze: „Jest to historyczny dokument, który jest umieszczony na ścianie, aby przypominać wszystkim o dobrych obyczajach”.

5. Ponad 1300 osób zmarło podczas tegorocznej pielgrzymki hadżdż – poinformowała Arabia Saudyjska. „Niestety, liczba ofiar śmiertelnych osiągnęła 1301, przy czym 83 proc. z nich nie posiadało zezwolenia na odbycie pielgrzymki i przemierzało długie dystanse w bezpośrednim świetle słonecznym, bez odpowiedniego schronienia lub komfortu” – podała oficjalna Saudyjska Agencja Prasowa. Saudyjski minister zdrowia Fahd al-Jalal zarządzaanie pielgrzymką w tym roku określił jako „udane”, gdyż „podjęto próby podniesienia świadomości społecznej na temat niebezpieczeństw związanych z ekstremalnymi upałami”, więc nielegalni pielgrzymi sami są sobie winni. Atoli saudyjscy urzędnicy nie są bezduszni. „Niech Allah wybaczy i zmiłuje się nad zmarłymi. Ich rodzinom składamy najszersze kondolencje” – zakończył swój wywód minister.

6. Papież Franciszek przyjął moderatora generalnego Opus Dei ks. prałata Fernanda de Ocariz. „Podczas audiencji prałat poinformował papieża o pracach prowadzonych wraz z Dykasterią ds. Duchowieństwa w celu dostosowania statutów, podkreślając rodzinną atmosferę i otwarty dialog, z którym realizowane są te zadania” – donosi Opus Dei na swojej stronie internetowej. Papież przekonywał prałata, że Opus Dei ma być „bardzo blisko ludzi, zwłaszcza w krajach, w których jest więcej cierpienia lub gdzie praca ewangelizacyjna jest trudniejsza” i „przypominał o ofiarnej pracy wykonywanej przez różnych członków Opus Dei w tych krajach”. „Audiencja, która trwała około pół godziny, odbyła się w atmosferze ciepła i sympatii ze strony Ojca Świętego, który udzielił prałatowi serdecznego błogosławieństwa” – chwali się Opus Dei.

7. Religijny doradca Trumpa, założyciel tekańskiego Kościoła Wrót pastor Robert Morris ogłosił: „Kiedy miałem dwadzieścia kilka lat, dopuściłem się niewłaściwych zachowań seksualnych w stosunku do młodej damy mieszkającej w domu, który odwiedzałem. Doszło do pocałunków i pettingu, choć nie do stosunku płciowego, jednak było to niewłaściwe. Takie zachowanie miało miejsce kilka razy w ciągu następnych kilku lat”. Pastor Morris zożył to oświadczenie w odpowiedzi na pytanie dziennikarza „Christian Post”, dodając, że, „kiedy sytuacja wyszła na jaw, została wyznana i odpokutowana”. „Młoda dama” ma nieco inne zdanie: kiedy pastor wsadzał w nią paluchy, miała 12 lat. A kiedy już jako dorosła kobieta zażądała odszkodowania, od adwokata Morrisa usłyszała, że sama jest sobie winna, bo była „zaplotna”.



Mój ból jest lepszy niż twój

Moda na traumy

Przed laty Kuba Sienkiewicz z Elektrycznych Gitar śpiewał: „Wszędzie dookoła czyha pokusa goła, wszędzie, gdzie nie spojrzę, chcę sobie zrobić dobrze”. Gdyby dziś zaktualizował swój tekst, zapewne leciałby on mniej więcej tak: „Wszędzie dookoła czyha trauma niewesoła, wszędzie, gdzie nie spojrzę, chcę sobie zrobić niedobrze”.

Z mieszaniną zdumienia i irytacji odbieram za-
lew ponurego gówna mentalnego i grzebania się
we własnych bebechach, wywlekania najgorszych
doświadczeń z dziejów rodzinnych, osobistych,
a nawet narodowych. I nie jest to cenne błoto znad
Morza Martwego, które ma dobroczynny wpływ na
organizm dzięki swoim niezrównanym wartościom
odżywczym. To błoto radioaktywne, przenikające
swoją szkodliwą promieniotwórczością każdą ko-
mórkę naszego ciała.

Co gorsza, szermowanie własną traumą bywa
wstępem do nikczemnego traktowania innych lu-
dzi, co jest prawdą zarówno w przypadku męża bru-
tala, który jest weteranem wojennym (polecam pój-
ście do kina na kapitalny film włoski „Jutro będzie
nasze”, reżyserowany przez Paolę Cortellessi), jak
i całych narodów, ze szczególnym uwzględnieniem
Izraela, traktującego traumę Zagłady jako kartę
kredytową, na rachunek której może swobodnie
mordować Palestyńczyków i dokonywać na nich
czystek etnicznych.

Jako iż Polska jest „pawiem narodów i papuga”,
moda na traumy przywędrowała nad Wisłę, Odrę
i Wartę, zapuszczając tu trujące korzenie.

Traumaland

Na początku swej książki „Traumaland. Polacy
w cieniu przeszłości” Michał Bilewicz uderza w tak
patetyczne tony, że ociera się wręcz o śmieszność:
„Tak, wszyscy żyjemy na grobach. Tu się uczymy,
studiujemy, pracujemy. Rodzimy i wychowujemy
dzieci, wyprowadzamy psy, latem się opala-
my, jesienią zbieramy jabłka i grzyby. Zimą
narzekamy na drogowców, któ-
rzy znów nie odsłanili po-
rządnie ulic. Złorzeczmy
na polityków i podatki,
smog i piratów drogo-
wych. Wszystko to dzieje
się z traumatyczną historią
w tle. A nawet nie w tle – tylko
przez nią. Bez zrozumienia hi-
storycznej traumy nie sposób pojąć tego, jak wyglą-
da dzisiejsza Polska, jak Polacy reagują na porażki
i sukcesy, jak radzą sobie z kryzysami i konfliktami,
dlaczego nie potrafią rozmawiać o historii i traktują
innych jak wrogów”.

Znamienne, że psychologowie zajęli się traumą
drugiego pokolenia w latach 80. XX w., gdy psy-
cholożka kliniczna Zahava Solomon, lekarz Moshe
Kotler i psycholog społeczny Mario Mikulincer
zaczęli badać powracających z Libanu weteranów.
Zastanawiające, że tak podobno czuły na wszelką
ludzką krzywdę autor „Traumalandu” przytacza
propagandową nazwę, jaką Izraelczycy nadali swej
agresji („Pokój w Galilei”), pisząc o „głębokim śla-
dzie” zarówno w psychice Izraelczyków, jak i wśród
libańskich Arabów, którzy – jak twierdzi Bilewicz
– do dziś wspominają o izraelskiej „inwazji”.

Ciekawe, czy pięjący peany na cześć tej książki
byliby równie życzliwi, gdyby atak III Rzeszy na
Polskę nazwany był w niej wydarzeniem, które zo-
stało głęboki ślad w psychice zarówno Niemców,
jak i Polaków, a ci drudzy działania hitlerowskie

wspominaliby do dziś jako „inwazję”? Cóż, nie
zdziwiłoby to mnie, w mediach bowiem od wielu
lat wciąż wspomina się o brutalności Armii Czer-
wonej w walce z Niemcami, którzy – i tu, kurwa,
prezes ma rację! – kreują się wręcz jako główne, po
Żydach, ofiary II wojny światowej.

Oczywiście, Bilewiczowi nie sposób odmówić
słuszności, gdy pisze, że polska kultura jest prze-
siąknięta martyrologią, zaś nie jest przypadkiem
chyba, że nasza młodzież powszechnie posługuje
się słowem „masakra”, które przecież odnosi się
do rzezi ludności cywilnej. Do dziś pamiętam też,
jak pewnego dnia „zmasakrowałam” się z kolegą
Michałem wypaleniem 13 czy 14 skrętów trawki –
w świecie akademickim także, przy okazji krytycz-
nych recenzji zwłaszcza, zwykło się mówić o „ma-
sakrach”.

Traumy, których nie było

Byłoby nawet zabawne, gdyby nie było ogłu-
piające, że niektóre traumy nie dotyczą własnych
doświadczeń, lecz tych znanych z mediów. Tu
przypomina mi się film sprzed dwóch lat „Nie
w porządku” (reż. Quinn Shepard). Jego bohater-
ka grana przez Zoey Deutch z ogromnym smut-
kiem i rozgoryczeniem skarży się, że nie przeżyła
osobiście traumy związanej z atakami Al-Kaidy na
World Trade Center 11 września 2001 r. A przecież
zamachy terrorystyczne wytworzyły więź pokole-
niową i poczucie wspólnoty. Dopiero gdy w wyniku
zbiegu okoliczności dziewczyna staje się trauma-
-celebrytką ocaloną jakoby z zamachu w Paryżu, jej
życie nabiera rumieńców.

Skądinąd owe bez mała 3 tys. ludzi, które zginęły
w atakach z 11 września i trauma związana z wi-
dokiem upokorzenia w obliczu walących się wież
i płonącego Pentagonu, stały się pretekstem do in-
wazji na Afganistan, a potem – Irak. Wiadomo było,
że ktoś za to wszystko będzie musiał zapłacić. Za-
płacili niczemu niewinni cywile i to w liczbie bliżej
nieokreślonej, bo liczy się tylko życie tych, którzy są
coś warci. Do dziś toczą się ostatecznie nierozstrzy-
galne spory, często bardzo wysublimowane meto-
dologicznie, dotyczące szacunkowej liczby zgonów
w Iraku po upadku reżimu Saddama Husajna.
Jedni mówią „tylko” o paruset tysiącach ofiar, inni
– może nawet o dwóch milionach. O traumie Iraki-
czyków w Stanach Zjednoczonych i na Zachodzie
się nie mówi, ich żaloby są kwestią prywatną, a nie
o znaczeniu geopolitycznym.

Wyraźnie widać z kolei, wracając na nasze po-
dwórko, że elity postsolidarnościowe przeżywały
dziwną traumę z powodu braku traumy w stanie
wojennym. Sprawną akcją wojskową gen. Jaruz-
elskiego, praktyczny brak – poza kopalnią Wujek
– oporu zbrojnego wobec komuny, po latach skut-
kowały prawdziwą erupcją wściekłości i zawziętej
nienawiści. Wobec PRL-u, aparatu represji i same-
go Jaruzelskiego, który nie utopił „karnawału Soli-
darności” we krwi, lecz skutecznie go spacyfikował,
internując solidaruchów, a nie mordując ich. Na-
zbyt łatwo zapomina się, że ocalony z Holokaustu
Urban walczył z nazywaniem go „Goebbelsem stu-
anu wojennego”, bo zrównywało to Polskę Ludową
z Trzecią Rzeszą.

Kiedy czyta się wspomnienia internowanych
– wbrew ich oczywistym intencjom – w jakimś
istotnym sensie jest to pieśń pochwalna na cześć
rządzących: po początkowej trwodze i niepewno-
ści opozycjoniści stawali się często hardzi, a nawet
buńczuczni. Mogli, bo traktowano ich w sposób
budzący wśród kryminalistów siedzących ówce-
śnie w więzieniach zazdrość: złodzieje i zabójcy nie
mogli liczyć na takie pobłażliwe postępowanie ze
strony klawiszów.



Trauma zakazana

**Ciekawe, że gdy mówi się
aż do wyrzygania o II woj-
nie światowej i kolejnym
pokoleniu doświadczają-
cym traumy, zespołu stre-
su pourazowego (PTSD)
– choć wojnę to ono wi-
działo w internecie lub
telewizji – zapadła grobo-
wa cisza nad realną
i znacznie świeższą trau-
mą związaną z upadkiem
PRL-u i brutalnymi prze-
mianami początku lat 90.**

Terapia szokowa Balcerowicza zepchnęła milio-
ny ludzi w odmętę nędzy i upokorzenia. Marne,
bo marne, ale państwo bezpieczeństwa socjalnego
epoki Polski Ludowej zostało zdruzgotane. Wiele
milionów Polaków, którzy po prostu chcieli, aby
było bogato jak w Niemczech, nagle dowiedzieli
się, że powojenna Polska była krajem totalitarnym,
a liczili się wyłącznie ci, którzy hasali w latach 40.
i 50. po lasach i modlili się o wybuch III wojny świa-
towej. Im stawiano pomniki. O nich pisano książki
i kręcono filmy.

Trud nieprzebranych mas ludzkich, które chciały
po prostu jakoś ułożyć sobie życie, dzielnie zmagają-
jąc się z gospodarką niedoboru realnego socjalizmu,
ale mając dostęp do taniej książki i wysokiej jakości
kultury (PRL był poniekąd mocarstwem kulturo-
wym, tzw. polska szkoła filmowa była szanowana
w całej Europie, zazdrośczone nam niekomercyj-
nego systemu zespołów filmowych), był nik-
czemnie umniejszany. Dobrze to zdiagno-
zował Kazik, rapując w gorzkiej piosence
sprzed ponad trzech dekad:

„Starszy człowiek w barze mlecz-
nym je kartofle z ogórkami.

Całe życie tyrał w hucie, a do
huty dokładali.

Cała jego ciężka praca, wszyst-
ko było chuja warte,

Gdyby leżał całe życie, mniejszą
czyniłby on stratę”.

Oczywiście, traumy trzeba przepraco-
wać, ale nie uczyni się tego manipulacją
i dętą martyrologią.

ZUZ



rys. MARCIN BODAROWICZ

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ W niedzielne popołudnie islamscy
terroryści zorganizowali zamachy na dwie
cerkwie i synagogę w kaukaskim Dagesta-
nie. W ataku oraz późniejszej strzelaninie
z policją zginęło kilkanaście osób. Do chwili
zamknięcia tego numeru Kreml nie odniósł
się do sprawy.

★ O stanie polskiej armii pisze w „New-
sweeku” Radosław Omachel: „Z postso-
wieckiej amunicji kaliber 122 się wystrzela-
liśmy, a to, co zostało, wysłaliśmy walczącej
z Rosją Ukrainie. Gorzej, że podobnie jest ze
stosowanymi w NATO pociskami kalibru
155. (...) Wojskowi przyjmują, że niezbędne
minimum zapasów to milion sztuk amunicji
155 mm. Tymczasem Polska, po świętowa-
nym uroczystościem ćwierćwieczu obecności
w NATO, dopiero uczy się produkowania tej
amunicji. – To nie jest rocket science, ale
w Polsce nie ma już stalowni do produkcji

korpusów, nie mamy własnej produkcji
spłonki, nie produkujemy nitrocelulozy –
mówi osoba z branży zbrojeniowej”. W tej
sytuacji pozostaje tylko zakrzyknąć niczym
świeżo wybrana eurodeputowana PiS Mał-
gorzata Gosiewska: Na Moskwę!

★ Wystawiona na sprzedaż przez nowych
włodarzy Orlenu podlaska gazeta regionalna
„Kurier Poranny” donosi: „Migranci próbo-
wali forsować graniczne rzeki – w okolicy
Białowięży rzekę Przewłoka, a w okolicy
Krynka rzekę Świsłocz”. Niestety, redaktorzy
„Porannego” nie wyjaśnili, na czym polega
„forsowanie rzeki”.

★ Katarzyna Gójska, z zawodu żona
Michała Rachonia, pisze w „Gazecie Pol-
skiej” o nowym ambasadorze w Rzymie:
„Ryszard Schnepf, którego ojciec wspierał
sowieci w zbrodniach popełnianych na

Polakach (...) ma zastąpić w Wiecznym
Mieście córkę generała Władysława And-
ersa, który jest jedną z najznamienitszych
postaci polskiej walki o wolność z czasów
II wojny światowej i po niej na emigracji.
Nominaci Tuska nie są przypadkowi – są
znakiem zmiany – nie zmiany środowiska
politycznego po wyborach, lecz po prostu
głębokiej zmiany w polskiej polityce, która,
jak słyszymy, jest gotowa zaakceptować
żołnierzy Putina na naszej granicy zamiast
ukraińskich pograniczników czy decyduje
się kreować politykę międzynarodową
w oparciu o ludzi po pachy ubabranych re-
lacjami z Moskwą i niemających problemu
z oczernianiem Polski”. Uff!

★ Alaksandr Łukaszenka skomentował
afery związaną z eksportem mleka, która
wybuchła na Białorusi kilka miesięcy temu:
„Proszę wybaczyć, nie jestem antysemitą,

ale ponad połowa zatrzymanych to Żydzi.
Czy to jest tak, że oni mają jakąś szczegó-
lną, uprzywilejowaną pozycję w naszym
kraju, że kradną i nie myślą o swojej przy-
szłości? Każdy jest równy wobec prawa
– Żydzi, Białorusini, Ukraińcy, Rosjanie i Po-
lacy. Jeżeli jest winien – będzie siedział”.
Izrael oczywiście oskarżył Łukaszenkę o an-
tysemityzm. Nie od dziś wiadomo, że jak
ktoś mówi o żydowskich noblistach to jest
prawym gojem, a jak o żydowskich aferzy-
stach – antysemitą.

★ Korespondencję z nowojorskiego psy-
chiatryka przesyła niezawodna Irena Lasota
 („Plus Minus”): „Dla mnie Rosja nosi cią-
gle jak Związek Sowiecki czerwony kolor.
I to taki szczególnie jaskrawy kolor, który
w ZSRR najlepiej wychodził na jedwabiu.
Jedwab był, skądinąd, produkowany głów-
nie w Republice Uzbekistanu, gdzie również
produkowano najwięcej bawełny, i tam dłu-
go jeszcze po oficjalnym światowym zakazie
używania DDT spryskiwano tą trucizną dzie-
ci wywożone na kilka miesięcy w pole, żeby

zbierały tam to, co nazywało się »białym
złotem«. Nie chcę sugerować, że Moskwa
nie pospypywała czy nie karmiła swoich
rdzennych Słowian truciznami, ale wiadomo,
że najgorzej traktowała ludzi z nierosyjskich
terenów i tam ich bardziej zatrutowała i napro-
mieniowywała”. Tajemnicą pozostaje, kto
tak skutecznie napromieniował panią Lasotę.

★ „Tygodnik Powszechny” o udziale Polski
w odbudowie Ukrainy: „Polska już raz miała
dostać swój kawałek powojennego tortu:
dwie dekady temu polski rząd przekonywał,
że za udział w inwazji USA na Irak polskie
firmy dostaną kontrakty. Koniec końców nic
z tego nie wyszło. – Porównanie z Irakiem
jest nieadekwatne – mówi »Tygodnikowi«
Radosław Sikorski”. Szef dyplomacji jest
w tej kwestii niezwykle wiarygodny, bowiem
to akurat za jego ministrowania w resorcie
obrony pierwszego rządu PiS obiecywano
irackie „17. województwo”.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

Kara za próbę rozmnażania narodu

Andrzej Mleczek wzywał obywateli, by nie pieprzyli bez sensu. Polskie prawo zabrania pieprzenia, nawet gdy ma ono sens. Dla wszystkich, którym marzą się erotyczne wyczyny na świeżym powietrzu albo choć w samochodzie, lato jest dokładnie tym, na co czekali. Mało ciuchów do ściągnięcia, no i nie trzeba włączać silnika, by podgrzać atmosferę. Nie ma też powodu, żeby uskutecznić karesy w pozycji stojącej, gdy trawa aż się prosi, aby z niej skorzystać.

Gdy chucie zaczęła rządzić, wypada zdać sobie jednak sprawę z tego, że na terenie Rzeczypospolitej seks pozamieszkalny stanowi idealny pretekst, by władza mogła wykazać się w podnoszeniu stanu świadomości prawnej społeczeństwa oraz w zasilaniu publicznego budżetu. Kolejną rzeczą, którą trzeba wiedzieć, jest to, że żyjemy w świecie totalnej inwigilacji. Dzięki której w każdej chwili można stać się bohaterem jakiegoś pornofilmu.

W lesie oblesnie

W należącym do prywatnego właściciela lesie pod Zgierzem zamontowano fotopułapkę, która miała rejestrować wszystkie przypadki nielegalnego wyrzucania tam śmieci. No i nagrała. Najpierw ok. godz. 17.00 między drzewa wjechało auto. Z obnażonymi tablicami rejestracyjnymi. Potem przed obiektywem kamery przyodziewku pozbyli się pan i pani, którzy autkiem przyjechali, by zrobić to, co robili, po czym pozostawili na trawie chusteczki i prezerwatywy. To właśnie ponoć te śmiecie zmusiły właściciela lasu i fotopułapki do powiadomienia policji. Choć gdy do pana dotarły media, to opowiadał im, że to, co wyczyniała w jego lesie ta para, to samo zło, bo „tam w pobliżu są ścieżki, którymi spacerują ludzie, jeżdżą rowerzyści. Nietrudno sobie wyobrazić, że mógłby tam przechodzić ktoś z dzieckiem” – mówił pan, a żaden dziennikarz nie dopytał, co stałoby się dziecku, gdyby to zobaczyło.

Każdy, kto zaliczył samochodem kontrowersyjny dzwon z innym autem, wie, że po wezwaniu policji można sobie znaleźć zajęcie na jakąś godzinę z okładem. Są jednak sytuacje, gdzie mundurowi zjawiają się w ciągu kilku minut. Jedną z nich jest spółkowanie w terenie.

Jeśli zatem w chwili, gdy jesteście ułamek sekundy przed orgazmem i usłyszycie znaczące chrząknięcie lub pukanie w zaparowane okno samochodu, możecie być pewni, że chrząkającym lub pukającym jest policjant albo strażnik miejski.

Niekulturalny policjant albo strażnik. Niepisany kodeks mundurowych stanowi bowiem, że najpierw zabezpiecza się teren przed osobami niepowołanymi, potem prowadzi obserwację, a interwencję przeprowadza się, gdy para skończy, co ma skończyć, ale jeszcze nie zdąży się ubrać.

Interwencja polega na poproszeniu o dokumenty. Według relacji policjantów mających za sobą takie akcje, najistotniejszy jest właśnie odpowiedni moment. Jest wtedy co opowiadać na posterunku. Miny facetów i twarze kobiet mających sekundę na rozwiązanie dylematu: połknąć czy wypłuć, są – zdaniem mundurowych – bezcenne. No i to tłumaczenie się przyłapanych, gdy nie mogą zaczerpnąć oddechu...

Tłumaczenie zaś jest zawsze takie samo, „że przecież nikogo tu nie ma”, „że w sumie to nawet nie można było nic zobaczyć” i – rzecz jasna – „że to, co robili, to przecież nic złego”.

Funkcjonariusz czeka na ten moment i wygłasza wyuczoną formułkę: „Zostaliśmy wezwani na interwencję w związku z popełnieniem wykroczenia opisanego w art. 51 kodeksu wykroczeń: kto krzykiem, hałasem, alarmem lub innym wybrykiem zakłóca spokój, porządek publiczny, spoczynek nocny albo wywołuje zgorzelenie w miejscu publicznym, podlega karze aresztu, ograniczenia wolności albo grzywny”.

Jeśli złapana na gorącym uczynku para będzie grzeczna, funkcjonariusz udzieli jedynie ustnej nagany i pouczenia, że jak ich złapie jeszcze raz,



Po ciemku, po cichu

to nie obejdzie się bez mandatu. Praktyka pokazuje, że na tym właśnie kończy się ponad 90 proc. interwencji.

Gorzej, gdy kończy się kwartał i funkcjonariusz musi wyrobić założony przez przełożonych plan finansowy. Wtedy oprócz pouczenia dostaje się jeszcze mandat – nawet 500 zł.

Przystanek zwany pożądaniem

Ze ściganie baraszkujących par to dla policji nie byle co, świadczy przykład przystanku autobusowego w Szumiesiu Szlacheckim w gminie Nowa Karczna, gdzie w 2022 r. pewna para skutecznie seks. Przystanek znajduje się przy drodze wojewódzkiej nr 221 w kierunku Gdańska. Drogą zaś jechało sporo aut. Żadne jednak nie było samochodem policyjnym. Skąd zatem w tej miłosnej opowieści wzięli się mundurowi? Ano stąd, że jeden z przejeżdżających kierowców, parę nagrał i wrzucił filmik do internetu. Wtedy sprawą zainteresowała się miejscowa policja, apelując do społeczeństwa o pomoc w ujęciu wykraczającej poza kodeks pary. A tu proszę – mimo apeli i poszukiwania świadków, funkcjonariuszom przez dwa lata nie udało się ustalić, kim byli bohaterowie przystankowego melodramatu akcji. Oczywiście miejscowi wiedzą, ale nie powiedzą, bo widać są mądrzejsi niż art. 51 kw.

Mądrości nie sposób jednak oddać policyjnej procedurze. Bo choć rzecznik miejscowej policji przyznał, że sprawa została umorzona, to wciąż aktualny jest apel do „świadków lub osób mających wiedzę w tej sprawie”, by się zgłaszali do komendy.

Wróćmy jednak do przyłapania przez policję. Jeśli będzie się próbowało zakwestionować słowa mundurowego, że jest na miejscu, bo ktoś uprawiających seks widział i poprosi się patrol o przedstawienie relacji świadka, można być pewnym, że łagodność funkcjonariuszy zostanie wystawiona na próbę. A wystawiać jej z tego powodu nie ma sensu. W Kodeksie wykroczeń jest bowiem jeszcze jeden artykuł nader adekwatny do sytuacji: „Kto

publicznie dopuszcza się nieobyczajnego wybryku, podlega karze aresztu, ograniczenia wolności, grzywny do 1500 złotych albo karze nagany”.

Ten paragraf nie zakłada, że kopulację oglądał ktoś oprócz strażnika prawa. Jeśli sam przypadkiem natrafił na inkryminowaną sytuację, posłuży się właśnie tym przepisem.

Oczywiście normalnym policjantom szykować kochanków się nie chce. Najlepszym dowodem tego jest sprawa sprzed roku, gdy miejscowy tatuś wybrał się z synkiem i dronem z kamerą do ruin zamku w Lanckoronie. Puścił latadełko nad basztę, a tam właśnie para miała się ku sobie. Normalny człowiek szybko przemieściłby urządzenie gdzie indziej, ale tatuś – nie. Podlatywał do rozebranych kilkakrotnie, na tyle dolegliwie, że zaczęli rzucać w kierunku drona kamyczkami, po czym zrezygnowani ubrali się i poszli w cholerę.

W normalnym kraju operatora drona czekałaby sprawa o naruszenie prywatności. Ale nie u nas. Jedynym pozytywnym dla tego akurat przejawu miłości na świeżym powietrzu jest fakt, że miejscowa policja nic z filmikiem nie zrobiła i sprawę ścigania kochanków odpuściła.

Gdy jednak policja nakryje nas na wilgotnym uczynku, tak łatwo może nie być. W takiej sytuacji nie można udawać przed mundurowymi, że znamy się na prawie. Mówienie, że samochód, las czy pole to nie miejsca publiczne, jest bez sensu, bo są jak najbardziej. Stosowana przez wymiar sprawiedliwości definicja mówi, że miejsce publiczne to takie, „do którego dostęp jest niczym nieograniczony dla nieokreślonej liczby osób”.

Publiczny jest zatem prywatny las, prywatne kino, a nawet prywatna klatka schodowa, o prywatnym samochodzie nie wspominając. A że to od logiki jest nader odległe, polskiego prawa nie interesuje.

Nie ma też sensu perswadowanie funkcjonariuszom, że seks to seks, a nie zgorzelenie. Nie przekonają ich się, bo mają wdrukowane, iż zgorzelenie to „spowodowanie negatywnej reakcji otoczenia na zachowanie się sprawcy. Reakcją taką może być np. uczucie wstrętu, oburzenia, obrzydzenia, czy niesmaku. Musi wystąpić przynajmniej u jednej postronnej osoby niebędącej przy tym nadmiernie wrażliwą”.

I co z tego, że dla policjanta sytuacja wcale nie będzie obrzydliwa, niesmaczna, czy wstrętna. Policjant nie jest w tej sytuacji osobą bezstronną. Działa na zlecenie zgorzelenego.

Nieobyczajność bez ogródek

W przypadku „nieobyczajnego wybryku” funkcjonariusz nie jest już niczym związany. To on ocenia nieobyczajność i to, czy zachodzi ona „publicznie”.

W przypadku parki baraszkującej na kocu w parku sytuacja jest prosta. Gorzej, gdy para jest w samochodzie, a zaparowane szyby uniemożliwiają zobaczenie z zewnątrz, co się dzieje w środku. Zgodnie z obowiązującą wykładnią doktryny, „nieobyczajny wybryk” można popełnić wyłącznie świadomie. Od biedy zatem można by się spierać w sądzie, czy jak przez zaparowane szyby nie widzi się nikogo i nikt nie może zobaczyć nas, to nie ma ani zgorzelenia, ani nieobyczajności. Tyle tylko, że sprawa w sądzie związana z przyłapaniem na spółkowaniu w samochodzie to totalny obciach i strata czasu. Lepiej zatem przyjąć, że funkcjonariusz ma w tej sprawie zawsze rację i z uśmiechem prosić go o najniższy wymiar kary.

Nieobyczajny wybryk może być upubliczniony nie tylko w miejscu publicznym. Jeśli bowiem kogós najdzie ochota na seks we własnym ogrodzonym ogródku, to też może się załapać na sankcję. W końcu spoza ogrodzenia może to zobaczyć każdy. We własnym mieszkaniu też można się „nieobyczajnie wybrykać”. Wystarczy, że będzie się kopolowało przy odsłoniętych zasłonach i zapalonym świetle, gdy naprzeciwko jest miejsce, do którego dostęp ma nieograniczona liczba osób, z których jedna wykona stosowny telefon. Równie niedopuszczalne jest spółkowanie przy otwartym oknie, gdy się mieszka na parterze albo i wyżej. Ba, oprócz tego, że grozi kara za wykroczenie, to można się również załapać na widmo odsiadki za pokazywanie wyczynów seksualnych dzieciom.

Zamknięcie okien i zasłonięcie zasłon też może nie wystarczyć. Zwłaszcza gdy nie potrafi się zaparować nad skalą i mocą własnych okrzyków. Darcie pyska po godz. 22.00 co prawda pod zgorzelenie i nieobyczajność nie podpadną, ale pod zakłócanie ciszy nocnej – jak najbardziej.

Można się przed tym uratować tylko w jeden sposób. Policja musi przyjąć post factum, gdy już jest cicho. A wtedy trzeba udawać, że nikogo nie ma w domu. Po paru minutach łomotu patrol idzie sobie w cholerę.

Co nie zmienia sytuacji, że miłosne zmagania w Polsce należy uskuteczniać w czterech ścianach, po ciemku i po cichu. Nie wolno też dziwić się, że przyrost demograficzny mamy ujemny, bo jak na kraj, w którym każdy seks jest na granicy prawa, dzieci i tak rodzi się zastanawiająco wiele.

TADEUSZ JASIŃSKI

REKLAMA

PROF. PRZEMYSŁAW SADURA
KTO CIĄGNIĘ LEWICĘ W DÓŁ

PROF. STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA
PRAWDZIWI ŻYCIORYS
ANNY WALENTYNOWICZ

PROF. MAREK WRÓŃSKI
UCZELNIE PEŁNE PLAGIATÓW

HELENA KOWALIK
DZIENNIKARZE W OKOPACH SĄDU

tygodnikprzeglad.pl

Przeгляд

Prof. Przemysław Sadura
140 latpolskiej woli

Prof. Stanisław Sławomir Nicieja
Przewodniczący Komisji Rewizyjnej

Prof. Marek Wróński
Członek komisji płażeb

Helena Kowalik
Dziennikarka w okopach sądu

Apel prof. Grzegorza W. Kołodki

TYLKO POKÓJ NAS URATUJE

Chcesz pokoju,
NIE szukaj się do wojny

80 lat temu powstał zaczątek PRL

Zwabione do Moskwy kierownictwo państwa podziemnego planowano aresztować i postawić przed sądem za rzekome działania przeciw Armii Czerwonej. Zarzut był zmyślony, kierownictwo Polski podziemnej w tym czasie takich działań nie organizowało i starało się im przeciwdziałać, licząc się z opinią aliantów zachodnich oraz z ich bezużytecznością z wojskowego punktu widzenia. Do takich ataków wprawdzie dochodziło, ale wskutek samowoli pozostających w polu oddziałów zbrojnych, w większości spod znaku Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ) niespektykujących stanowiska kierownictwa państwa podziemnego.

Szef kontrwywiadu radzieckiego gen. Iwan Sierow w pewnym momencie pochwalił się przed Bierutem, że ma kontakt z kierownictwem podziemia londyńskiego i prowadzi z nim grę. Bierut prosił go o nieuciekanie się do aresztów i przekazanie tego kontaktu

W kilka tygodni po zakończeniu wojny z Niemcami zwołał w tej sprawie zebranie kilkunastoosobowego Komitetu Centralnego PPR, a później szerszą naradę aktywną. Na plenum, w referacie wstępnym i podsumowaniu dyskusji, położył nacisk na trzy zadania. Po pierwsze, uniezależnienie się od wojskowych i innych przedstawicieli ZSRR. Nie przebiegał w słowach: „Jak tak dalej pójdzie, to staniemy się najgorszą NKWD-ystowską agenturą w Polsce” – cytuję to oświadczenie za protokołem, gdyż w publikacji w zeszycie VII Archiwum Ruchu Robotniczego (1984) zostało opuszczone. Po drugie, okiełznanie samowoli organów bezpieczeństwa („wyrasta nam państwo w państwie”) i respektowanie przez nie prawa. Zwolnienie więzionych bez powodu, przywrócenie w więzieniach ludzkich warunków bytowania. Po trzecie, znormalizowanie relacji z innymi partiami, zwłaszcza sojuszniczymi, nieumieszczanie tam własnych wytyczek, partnerskie traktowanie zwłaszcza Polskiej Partii Socjalistycznej. Tymi wytycznymi nie byli zachwyceni niektórzy członkowie Biura Politycznego, ale nie protestowali – autorytet „Wiesława” był już wysoki.

Konferencja moskiewska w sprawie składu rządu polskiego obradowała od 17 do 21 czerwca 1945 r. Nie była reprezentatywna. Komisja trzech po długich sporach zaprosiła tylko dwie grupy polityków polskich. Najliczniejszą, bo 10-osobową grupę przedstawiciele Polski Lubelskiej z Bierutem, Gomułka i Edwardem Osóbką-Morawskim na czele oraz Stanisława Mikołajczyka z kilku przyjaciółmi z rządu emigracyjnego. Z przewidzianych w Jalcie „demokratów krajowych” zaproszono profesorów krakowskich Adama Krzyżanowskiego oraz Stanisława Kutrzebę. Z Polskiej Partii Socjalistycznej – Wolność, Równość, Niepodległość (PPS-WRN) – nikogo, podobnie jak z całego państwa podziemnego. Socjalistów krajowych reprezentował niezależny Zygmunt Żuławski. Alianci zachodni na to przystali, bo zależało im na powołaniu w Polsce rządu narodowej jednoci przed konferencją wielkiej trójki w Poczdamie. W składzie rządu przewidziano przewagę PPR i jej sojuszników z Polski Lubelskiej, ale też liczący się udział grupy Mikołajczyka (stanowisko wicepremiera i trzy teki ministerialne). Zaproszono też Wincentego Witosa oraz Stanisława Grabskiego na stanowiska wiceprzewodniczących Krajowej Rady Narodowej. Te propozycje zostały niezwłocznie wprowadzone w życie.

Powstanie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej pod wieloma względami zmieniło polityczną atmosferę w kraju. Znaczna część podziemia się zwinęła. Stefan Korboński w Krakowie rozwiązał Krajową Radę Jedności i ogłosił wstąpienie do mikołajczykowskiego Polskiego Stronnictwa Ludowego. Delegat naczelnego wodza na kraj plik Jan Rzepecki w gorącym apelu wezwał żołnierzy oddziałów leśnych do zaprzestania walki i przejścia do pracy cywilnej. Spośród byłych AK-owców go usłuchało, zaś NSZ-owcy gremialnie zbojkotowali. W konsekwencji ich udział w podziemiu zbrojnym ućmiocnił się. Na razie jednak akty terroru wobec nowej władzy prawie ustały. Wyraźnie usamodzielniała się wobec PPR odrodzona PPS. Jej kongres, niezwłocznie zwołany, wybrał sekretarzem generalnym Józefa Cyrankiewicza, w czasie okupacji prominentnego działacza PPS-WRN, planowanego na stanowisko delegata rządu na kraj. Te plany pokrzyżowało aresztowanie Cyrankiewicza przez gestapo. Niemcy jednak nie zorientowali się, kogo mają w ręku i zesłali go do Oświęcimia. Po wyzwoleniu wrócił do kraju i podjął działalność w odrodzonej PPS.

Szybko ustalili się nowe porządki polityczne, inne niż w Lublinie. Ton nowemu rządowi nadawała partnerska już współpraca PPR z PPS. Szóstcoosobowa komisja porozumiewawcza obu partii zbierała się regularnie i stanowiła rodzaj nieoficjalnego rządu. Jedynie sprawy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i Ministerstwa Obrony Narodowej pozostały w wyłącznej kompetencji PPR. PPS objęła kontrolę nad

utworzonym Centralnym Urzędem Planowania, który opracował i wdrożył trzyletni plan odbudowy powojennej, cieszący się dużym uznaniem w kraju i podziwem za granicą. Ustabilizował się trójsektorowy model gospodarki, łączący wielki państwowy przemysł, prężną spółdzielczość i gospodarkę prywatną dominującą w rolnictwie, ale liczącą się także poza rolnictwem. Na kształtowanie się tych stosunków politycznych i modelu społeczno-gospodarczego duży wpływ wywarł Gomułka – określał te stosunki jako polską drogę do socjalizmu, odmienną od radzieckiej. Ta polityka miała szansę na utrwalenie się i sukces. Niestety, funkcjonowała bez większych przeszkód tylko niespełna rok. Załamała się pod wpływem głównie dwu okoliczności.

Już w 1946 r. zachwiał się kompromis między obozem Polski Lubelskiej i częścią obozu – nazwijmy to – londyńskiego, związanego z dawnym rzędem emigracyjnym; kompromis ustalony na konferencji moskiewskiej. Mikołajczyk, zachęcony popularnością, z jaką spotkał się w kraju oraz liczącą na poparcie mocarstw zachodnich, wziął kurs na zerwanie tego kompromisu i przejęcie całości władzy w wyborach. Gomułka miał w głowie doświadczenie węgierskie, gdzie podobny plan realizowany przez partię chłopską został brutalnie zablokowany przez Związek Radziecki, wprowadzenie rządów okupacyjnych, delegalizację partii chłopskiej i unieważnienie wyborów. Gomułka przy poparciu również PPS chciał uchronić Polskę przed takim losem. Proponował dla ratowania systemu pluralistycznego, wielopartyjnego odroczyć na znaczny czas pluralistyczne wybory i zastąpić je kontraktem: wspólny blok PPR, PPS i PSL z równym podziałem mandatów, po 100 dla każdej partii. Mikołajczyk tę propozycję odrzucił, jak również jej modyfikację zgłoszoną przez PPS i przewidyującą dla PSL 125 mandatów i pozycję najliczniejszej partii w sejmie. Załamanie się tych negocjacji we wrześniu 1946 r. spowodowało, iż PPR za zgodą PPS zdecydowała się na ingerencję siłą w wybory, a w istocie na ich sfałszowanie (Julian Hochfeld w rozmowie z młodymi socjalistami: „Wybory będą robione”). Bezpośrednio po wyborach Kreml naciskał na PPR, aby Mikołajczyka postawić przed sądem. Usiłując uniknąć tego procesu, Gomułka za pośrednictwem PPS ostrzegł Mikołajczyka, a uchylając nadzór bezpieki, umożliwił mu opuszczenie kraju.

Wraz z zimną wojną wzmogły się nacistki Stalina na ujednolicenie ustrojowe krajów zależnych od Związku Radzieckiego. Jesienią 1947 r. na konferencji w Szklarskiej Porębie Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego (KPZR) zgłosiła projekt utworzenia namiastki Kominternu. Wywołało to konflikt Gomułki ze Stalinem i jego rezygnację z funkcji sekretarza generalnego PPR. Na żądanie Biura Politycznego ta rezygnacja została czasowo odłożona, ale Gomułka i tak został oskarżony o odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne i w pół roku później odsunięty od władzy. Polska Ludowa popadła w okowy stalinizmu. Na sześć lat. W 1956 r. została wskrzeszona w kolejnym konflikcie z ZSRR i już w nieco innej, dostosowanej do sytuacji postaci. Ale wciąż z wyraźną tożsamością i odrębnością od pozostałych radzieckich wasali. W tej formie stopniowo umacnianie przetrwała do 1989 r.

Data 22 lipca 1944 r. obchodzona w PRL jako rocznica narodzin Polski Ludowej miała znaczenie jedynie symboliczne. Proces tworzenia się jej odrębności i tożsamości trwał 12 lat i pod wieloma względami w ramach bloku radzieckiego nie miał precedensu.

M.Z.

Z Polski Lubelskiej do Ludowej

Polska Lubelska istniała 10 miesięcy. Była typowym państwem garnizonowym rządzonej przez wojsko radzieckie. Od lipca 1944 r. do stycznia 1945 r. stacjonowało na jej terytorium ponad 3 mln żołnierzy Armii Czerwonej, a od lutego do czerwca 1945 r., gdy te miliony odeszły na zachód w pochodzie ku Odrze i Berlinowi, pozostały liczne garnizony osłony tyłów i komunikacji z ojczyzną. We wszystkich miastach i miasteczkach, a nawet wsiach gminnych ustanowiono wojskowe komendantury dysponujące odpowiednią siłą. Stacjonowały też w Polsce trzy dywizje NKWD, dobrze wyposażone i sprawne wojskowo. Polska wschodnia pozostawała także w zasięgu dywizji pogranicznych wojsk NKWD z Brześcia i Lwowa.

Władze Polski lubelskiej działające pod hegemonią Polskiej Partii Robotniczej, powołane zresztą dzięki radzieckiemu poparciu, z tą z wojskową administracją ściśle współpracowały. PPR w tym czasie w większości kierowali byli członkowie Komunistycznej Partii Polski, często skłonni okazywać więcej lojalności radzieckim komendantom wojskowym, z których ochrony korzystali, niż własnym władzom. Sporadycznie dochodziło nawet do wznowiania starokomunistycznych haseł o Polskiej Republice Rad. Ta fraternizacja partii z radzieckimi wojskowymi komendami niepokoiła Gomułkę. Dużo bardziej jednak niepokoiło go szarogęsienie się w Polsce NKWD i wojskowego kontrwywiadu radzieckiego. Liczne aresztowania w szeregach rozwiązanej już Armii Krajowej połączone z wywózkami do ZSRR psuły nastroje społeczne. Interwencje u Nikołaja Bułganina, pełnomocnika rządu radzieckiego przy Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego, zbywane były powołaniem się na względy bezpieczeństwa Armii Czerwonej i jej komunikacji.

•••

Do poważniejszego konfliktu doszło w związku z podstępny aresztowaniem i wywiezieniem do Moskwy 16 członków kierownictwa związanego z rządem na wychodźstwie państwa podziemnego, pozostających nadal w konspiracji wobec władz lubelskich, z komendantem głównym AK generałem Leopoldem Okulickim i delegatem rządu na kraj Janem Jankowskim na czele. Nastroje w tym kierownictwie podziemia były desperackie. Czuli się oni zdradzeni przez zachodnich sojuszników, a przez decyzje konferencji krymskiej (Jalta) pozostawieni na łaskę i niełaskę Sowietów. Bardziej niż tych ostatnich nienawidzili rządu „żydokomuny” zainstalowanego w Lublinie. Sądziły, że gdyby nie ci zdrajcy, Stalin musiałby w celu wykonania decyzji jałtańskich porozumieć się z władzami państwa podziemnego. W kręgu tej wciąż zakonspirowanej resztki po AK (gen. Leopold Okulicki) i Delegaturze Rządu na Kraj (Jan Jankowski)

dojrzała myśl, żeby ujawnić się wobec władz radzieckich, ignorując ich wasali z Lublina w nadziei, że to skłoni Stalina do potraktowania ich jako miarodajnych „demokratycznych” partnerów z kraju przy tworzeniu polskiego rządu jednoci narodowej.

Sądziły nie bez powodu, że mieliby Związkowi Radzieckiemu więcej do zaoferowania niż ci komunistyczni wasale. Spacyfikowanie podziemia, społeczną akceptację granicy wschodniej na Bugu, lojalny udział polskiego żołnierza w końcowej fazie wojny, zakończenie konfliktu o Polskę z zachodnimi aliantami. Gotowi byli nawet zerwać z izolowanym już na Zachodzie rządem emigracyjnym, który lekceważyli.

Temu myśleniu życzeniowemu wyszła na spotkanie zgłaszana przez usiłującego się z nimi skontaktować nieznanego nikomu generała Iwanowa propozycja udania się zespołowo na rozmowy do Moskwy. Pułapkę tę wymyślił zapewne szef NKWD Ławrientij Beria, a zaakceptował Stalin w zamiarze usunięcia przywódców państwa podziemnego ze sceny politycznej na okres tworzenia nowego rządu polskiego (przewidzianego w decyzjach jałtańskich) w składzie nadającym się do akceptacji przez całą antyhitlerowską koalicję. Tę misję powierzono w Jalcie komisji trzech, w skład której wchodził szef radzieckiej dyplomacji Waczesław Mołotow oraz ambasadorzy USA i Wielkiej Brytanii w Moskwie.

poliskim organom bezpieczeństwa, zapewniając że „poprobujemy się z nimi dogadać”. Sierow poinformował o tej rozmowie Berię, który polecił mu plan pułapki realizować, ale poniechał informowania o tym władz polskich w Lublinie. Wykpić się informacją, że kontakt się zerwał. Interesujące, iż grupa polskich funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa pod kierownictwem Józefa Światła nadal w tych radzieckich poczynaniach uczestniczyła w tajemnicy przed własnym kierownictwem. NKWD, jak widać, bardziej ufało Światłu niż Bierutowi.

W rezultacie do Moskwy i uwięzieniu „szesnastki” szefowie Polski Lubelskiej dowiedzieli się z zachodnich doniesień medialnych. Gomułka wpadł we wściekłość, gdyż akt ten naocześnie demaskował przed światem marionetkowy charakter państwa lubelskiego. Postanowił interweniować u Stalina. Opisał to w pamiętniku sporządzonym na emeryturze, ale wydanym już po upadku Polski Ludowej. Rozmowa odbyła się pod koniec kwietnia w Moskwie. Stalin początkowo pokpiwał z Gomułki: „Rozmawiacie ze mną jak prezydent wielkiego mocarstwa, którym nie jesteście”. Później zgodził się, że to porwanie „szesnastki” psuje też opinię Związku Radzieckiego w oczach aliantów, ale zwał winę na gorliwość NKWD. „Durak Sierow – ubieru duraka!” – mówił. I rzeczywiście odwołał go z Polski, ale nic poza tym. Cel swój osiągnął: uniemożliwił uczestnictwo przywódców państwa podziemnego w procesie tworzenia nowego rządu w Polsce. Słabiutki protesty aliantów zachodnich lekceważył – oni też zdawali sobie sprawę z tego, że na zapleczu swych frontów, w Grecji czy we Włoszech, nie tolerowaliby żadnej konspiracji. Ponadto uspokoił ich zapewnieniem, że wyroki będą łagodne. Rzeczywiście takie były poza dwoma – na Jankowskiego i Okulickiego. Obaj zginęli w więzieniu. Pozostali wrócili do Polski, większość jeszcze w 1945 r.

•••

Również Gomułka podjął przygotowania swej partii do nowej sytuacji, gdy w Polsce nie będzie radzieckich garnizonów, gdy będą działać niezależne partie, a wszystkie większe państwa Zachodu nawiążą z nią stosunki.

Nie lubię pisać o aferach w sporcie, ale czasem muszę.

Oczywiście nie ma sensu robienie afery ze sromotnej porażki polskich piłkarzy podczas mistrzostw Europy. Przypomnę nieskromnie, że już od dawna i wielokrotnie pisałem na tych łamach, iż polski futbol jest na peryferiach Europy. Nie domagam się za to nagrody Pulitzera. Nikt, kto nie był zaślepiony optymistycznymi wypowiedziami trenera Michała Proberza, niektórych dziennikarzy i samych zawodników, nie mógł twierdzić czego innego. Co z tego, że kilku graczy ma kontrakty w silnych klubach, skoro rzadko rozgrywają tam całe mecze albo w ogóle nie podnoszą się z ławki rezerwowych. Planują jednak wypełnianie kontraktów do końca, bo nikt inny tak lukratywnych kontraktów im nie zaproponuje.

Jest jeden pozytyw trwających – choć już nie dla nas – mistrzostw. Nikt przed imprezą nie obiecywał drużynie żadnych specjalnych nagród, jak zrobił w 2022 r. ówczesny premier Mateusz Morawiecki przed Mistrzostwami Świata w Katarze. Przynajmniej nie było klótni o pieniądze, albo nic o nich nie wiemy.

Władze europejskiej piłki nie są bardzo hojne. Za remis w grupie eliminacyjnej krajowa federacja dostaje 500 tys. euro, a za zwycięstwo 1 mln euro. Oczywiście w dalszych fazach turnieju premie rosną, a za złoty medal otrzyma się 8 mln euro. Przy olbrzymich pieniądzech krążących w klubowym futbolu, wydaje się to dość skromną gratyfikacją. Tym bardziej, że UEFA nieźle obłowi się na imprezie.

Nasi zawodnicy na wszelki wypadek zawczasu ustalili sposób podziału premii. Piłkarze otrzymują 40 proc. pieniędzy przyznanych przez UEFA dla PZPN, a kto ile, o tym decyduje specjalny algorytm ustalony przez starszyznę drużyny. Po ostatnim meczu na Euro polska drużyna wsiadła do samolotu. Biało-czerwoni zamiast liczyć, ile zarobili, mogli podliczać sumy, jakie przeszły im koło nosa.

Ważne, kto wkłada

Kiepski wynik sportowy to jednak niejedyny problem. Podczas mistrzostw pojawiła się jeśli nie afery, to – używając określenia Jarosława Kaczyńskiego – aferka. Chodzi o jednego ze sponsorów reprezentacji. Tuż przed Euro 2024 PZPN rozpoczął współpracę z Kuchnią Vikinga. To jedna z firm specjalizujących się w modnej diecie pudełkowej, czyli cateringu dietetycznym. Nie wiem, co oni serwują klientom. Wikingowie spożywali głównie mięsiwa (w tym dziczyznę) oraz ryby. Możliwe, że współcześni naśladowcy groźnych wojowników z północy wcinają warzywa i różne surowizny, diabli wiedzą. W każdym razie firma obiecuje przeróżne cuda: od odchudzania po wzrost masy mięśniowej czy walkę z niedoczynnością tarczycy. Jeśli prędko się zdecyduje, dostaniecie rabat – zachęca w reklamach.

Problem jednak nie w tym, co wkłada się do pudełek, ale kto wkłada. Otóż wiceszefem Kuchni Vikinga jest Paweł F., znany wśród kibiców Jagiellonii Białystok jako „Reptile”. Oskarżony jest on o udział w grupie przestępczej trudniącej się tym, co gangsterzy lubią najbardziej: sutenerstwem, porwaniami i organizowaniem kibolskich ustawek. Aż się dziwię, że nigdzie nie znalazłem słowa o handlu narkotykami, ale być może czegoś nie doczytałem, proces trwa już bowiem od 10 lat i jeszcze nie zakończył się nawet w pierwszej instancji.

Rzecznik prasowy firmy Kuchnia Vikinga słusznie zwraca uwagę, że dopóki ktoś nie został skazany, jest niewinny. Jeśli jednak wobec Pawła F. jest tyle niejasności, trudno się dziwić, że pozostali sponsorzy polskiej reprezentacji kręcą nosem na takie towarzystwo. Zespół prasowy Orlenu – a ta firma daje najwięcej pieniędzy – zapowiedział, że domaga się szczegółowych wyjaśnień. Bo – jak napisano w oświadczeniu – w działalności sponsoringowej spółka dba o to, aby wspierać podmioty niebudzące żadnych wątpliwości.

Zniknięcie wątpliwości

Sam PZPN także miał chyba swego czasu wątpliwości. Na początku minionego roku firma Kuchnia Vikinga poinformowała o przejściu części przedsiębiorstwa Lech Garmazeria Staropolska, włącznie z wyspecjalizowaną w produkcji mięsnej i garmazeryjnej 34-osobową kadrą. Zapowiedziano dalsze przejścia i wejście białostockiej spółki na rynek ogólnopolski.

Już wówczas wokół Kuchni Vikinga musiało być coś nie tak. Pierwsze podejście do sponsorowania piłkarskiej reprezentacji było nieudane. Kontraktu nie podpisano, oficjalnie tłumacząc, że na przeszkodzie stanęły względy finansowe. Dla nikogo, kto jest blisko polskiej piłki, nie ulegało jednak wątpliwości, że chodziło właśnie o osobę wiceprezesa Pawła F. Tuż przed Euro wątpliwości

Skandal w kuchni



widocznie zniknęły i podczas konferencji prasowych polskiej kadry pojawia się charakterystyczne logo przejącego muskuły wikinga.

Zapewne działacze uznali, że wyleczyli już rany po niedawnych dużych aferach i można zaczynać następną. A za prezesury Cezarego Kuleszy tych afer nazbierało się na prawdę niemało.

Najgroźniejsza miała miejsce podczas lotu reprezentacji do Kiszyniowa na mecz eliminacyjny do mistrzostw Europy z Mołdawią. Do samolotu, oprócz zawodników, ich opiekunów i władz związku, wsiadli także zaproszeni goście. Był wśród nich skazany za korupcję Piotr Stasiak. Zrobiła się poważna sprawa, ktoś taki nie powinien nawet zbliżać się do reprezentacji Polski.

Cezary Kulesza tłumaczył później, że Stasiaka nie zapraszał ani on, ani nikt z PZPN, ale jeden

z pomniejszych sponsorów. Na to odezwali się inni sponsorzy i to ci najpoważniejsi z InPostem na czele. Zagrozili wycofaniem się z przedsięwzięcia razem ze swoimi pieniędzmi. Ostatecznie udało się jakoś ich ułagodzić.

To nie był jedyny skandal związany z meczem w Kiszyniowie. Piłkarze zagrali tragicznie, przegrali 2:3, prowadząc do przerwy 2:0. W drodze powrotnej podpici goście specjalnego samolotu zaczepiali ich, jedni im wygrażali, inni robili sobie z nimi fotki. Najbardziej osobliwie zachował się organizator walk MMA Paweł Józwiak (skąd on się tam znalazł?). Wraz ze swoją partnerką stanęli w przejściu między fotelami, zajmowanymi przez piłkarzy, i zaczęli namiętnie się całować. Takie to jest towarzystwo...

Hajlujący ochroniarz

Na stadionie Jagiellonii, podobnie jak na wielu innych krajowych stadionach, rządzą bandyci. W przypadku obecnego mistrza Polski związek między klubowymi władzami a grupami o charakterze przestępczym był bardzo ścisły. U hersztów grup kiboli Jagiellonii znaleziono plany spotkań z zarządem klubu i dokumenty świadczące o tym, że to właśnie oni decydowali, kto i gdzie ma prawo poruszać się po obiekcie. Niejako przy okazji odkryto w ich mieszkaniach materiały o charakterze faszystowskim.

Jednego z pseudokibiców Jagiellonii zatrudnił swego czasu w charakterze ochroniarza Roberta

Lewandowskiego. Był to Dominik G., pseudonim stadionowy „Grucha”. Miał dbać o bezpieczeństwo naszego napastnika podczas zgrupowań kadry, a także polecieć z nią na mistrzostwa świata do Kataru.

Dziennikarze Wirtualnej Polski jako pierwsi poinformowali, że „Grucha” jest oskarżony o udział w zorganizowanej grupie przestępczej zajmującej się uprowadzeniami, bójkami oraz promowaniem faszyzmu. Pokazali też zdjęcia tego osobnika hajlującego w towarzystwie podobnych mu ogolonych na łyso mężczyzn. Cezary Kulesza przyznał, że zatrudnienie „Gruchy” było jego osobistą decyzją (Kulesza rzeczywiście wszelkie decyzje podejmuje osobiście, bez żadnych konsultacji), ale nie wiedział o kartotece osoby, której powierzył ważną rolę w reprezentacji. Trudno dać temu wiarę. Przez tyle lat związany był z Jagiellonią, że raczej musiał wiedzieć, kto rządzi na trybunach. Po prostu nie wierzę, że nie znał Dominika G., zwłaszcza, iż osoba ta zawieszoną miała na szyi oficjalną klubową przepustkę, pozwalającą swobodnie poruszać się po całym obiekcie.

W środkach masowego przekazu podniósł się taki raban, że „Gruchę” odsunięto od kadry. Musiał być wściekły na dziennikarzy, bo ominęła go fajna wycieczka. Ludzie płacą za nią grubą forszę, on nie tylko miałby ją darmo, ale to jeszcze jemu płaciliby za chodzenie krok w krok za Lewandowskim i noszenie za nim walizki.

Portal Wirtualna Polska opisywał bardzo szczegółowo karierę „Gruchy”, który z jednego spośród białostockich skinów wyrósł na ochroniarza największej gwiazdy polskiego futbolu. W kadrze narodowej – nadmieniono – zmienił się jego pseudonim. Już nie był „Gruchą”, lecz „Filipkiem”.

W rytmie disco polo

Prezes PZPN Cezary Kulesza wkroczył do swego gabinetu wcale nie tak dawno, bo trzy lata temu. Ma za sobą średnio udaną karierę zawodnika – coś około 20 meczów w Jagiellonii Białystok, w ogóle z Podlasiem związany jest od urodzenia. Tam kopał piłkę, tam został biznesmenem i działaczem sportowym.

Karierę biznesową zaczynał od disco polo, swego czasu uznawany był nawet za króla tego gatunku muzyki, a jego wytwórnia płytowa Green Star zdobywała liczne nagrody. Zarobione pieniądze inwestował w nieruchomości i to jest teraz główna część jego biznesu.

Równocześnie rozwijał się w roli działacza i stopniowo awansował aż do funkcji prezesa Jagiellonii Białystok. Tam przygotował się do skoku na najważniejsze stanowisko w polskiej piłce.

W wyborach na głowę pokonał Marka Koźmińskiego, uznawanego za człowieka ustępującego prezesowi Zbigniewowi Bońka (nie mógł startować na trzecią kadencję). Obaj prowadzili różne kampanie wyborcze. Koźmiński co i rusz zwoływał konferencje prasowe, opowiadał coś o programie i świetlanej przyszłości naszej piłki. Kulesza natomiast działał po cichu, długo nawet ukrywał, że zamierza startować, jeździł za to po okręgach i tam spotykał się przy obficie zastawionych stołach z miejscowymi baronami. Która strategia okazała się skuteczna, nie będę pytać, za wysoko cenię inteligencję Czytelników.

Czy za PRL istniały afery w futbolu? Jasne, że tak. Głównie polegały na przemyśle najróżniejszych towarów i uzupełnianiu w ten sposób niedoborów rynkowych, tak charakterystycznych dla minionej epoki. Zdarzało się też sprzedawanie i kupowanie meczów, ale w tej dyscyplinie sportu to ponadustrojowe zjawisko.

Pojawiało się przestępstwo nieznanne w nowych czasach: ucieczka za granicę. Dziś cieszymy się, gdy jakiś zagraniczny klub sięga po naszego piłkarza, bo może tam będzie miał większe szanse na zbudowanie kariery. Za PRL piłkarz, który został za granicą, nie miał prawa powrotu do kraju. Cenzura dbała o to, aby jego nazwisko nie pojawiło się w mediach, chyba że w krytycznym komentarzu piętnującym brak patriotyzmu młodego człowieka.

O pijaństwie nie wspomnę, bo sam w tym brałem czynny udział. Niestety, nie zostałem zaproszony na jeden z najsłynniejszych bankietów. Przed wejściem na cmentarz żołnierzy radzieckich w stolicy Dolnego Śląska ustawiono dwa zabytkowe czołgi T-34, które czuwać miały nad spokojem wiecznego odpoczynku zdobywców Festung Breslau. Kilku zawodników Śląska Wrocław w jednym z tych pojazdów urządziło sobie tegą popijawę. Mieli chłopcy fantazję. Już nie pamiętam, w jaki sposób wszystko się wydało, w każdym razie rozdmuchano to do rangi afery politycznej.

Różne czasy, różne afery.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

	SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ: Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny, Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny, Edyta Baker – sekretarz redakcji, Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor prowadzący, [Małgorzata Daniszewska], Idalia Dubicka, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP.	WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o. ADRES redakcji i wydawcy: 00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9, tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68; tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58. DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38. INTERNET www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.	E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.	DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź, e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl Sprzedaż elektroniczna: www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl Numer zamknięto: str. 1–16 – 26.06.2024 r.
--	---	--	--	---

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Na tajny kongres naukowy prezes Jarosław Kaczyński zaprosił najtęższe pisowskie umysły. Z mędrców zabrakło tylko Marka Suskiego, który przysłał zaszyfrowane zwolnienie lekarskie: „Jestem chory, wystarczy mi na chleb, z Radomia jest bliżej do Gazy (powinno być do Gizi – przypis deszyfranta), a Wąsik to chuj”.

Stosunkiem głosów dwa do jednego pisowscy erudyci zgodzili się z oceną Wąsika: opinię Suskiego podzielili Marek Kuchciński i Joachim Brudziński, przeciwnego zdania był Antoni Macierewicz.

– Chuj z Wąsikiem – orzekł prezes, który z reguły nie używał wulgarnych określeń nawet wobec takich indywiduów jak Wąsik. – Musimy znaleźć kandydata na prezydenta.

– To Tobiasz już nieaktualny? – zapytał Brudziński, mając na myśli teraz już również eurodeputowanego Tobiasza Bocheńskiego.

– Chuj z Tobiaszem – stwierdził Kaczyński. – Tak jak chuj z Mateuszem i Szydłową. Chuj z Mastalerkiem i innymi Dudowymi wynalazkami. Chuj z Jakim. Najpierw musimy wyznaczyć cechy, którymi powinien charakteryzować się nasz kandydat, a z dopasowaniem człowieka łatwo pójdzie.

– Kandydat powinien być eukariontem – powiedział Brudziński po rzuceniu okiem na notatki.

– A ja uważam, że jednak musi być heteronormatywny – odezwał się Macierewicz, który wszystkie notatki, w tym smoleńskie, miał w głowie.

Kuchciński taktycznie milczał.

– Eukariontem? – zainteresował się prezes.

– W przeciwieństwie do prokariotów, które nie są zbudowane z komórek posiadających jądro komórkowe z chromosomami – wyjaśnił Brudziński.

Macierewicz otworzył usta, a Kuchciński zamknął oczy.

– Typ strunowce, podtyp kręgowce, gromada ssaki – wyliczał Kaczyński.

– Podkrólestwo tkankowce właściwe, nadtyp wtóraste, infratyp żuchwowe, nadrząd euarchonty – sylabizował wpatrzony w notatki Brudziński.

Macierewicz pomyślał, że jest świadkiem rozmowy po khmersku. Kuchciński też by tak pomyślał, gdyby wiedział o istnieniu języka khmerskiego.

– Dobrze zatem... – westchnął prezes.

– Niewątpliwie ssak, żyworodny, łożyskowiec, małpokoształtny, ale nie uchodźca ani Niemiec.

– Heteronormatywny – dodał Macierewicz, spoglądając na Kuchcińskiego, który uparcie zachowywał taktyczne milczenie.

– Może w takim razie Błaszczak? – zapytał Brudziński. – Albo ja?

– Co?! – Kuchciński otworzył oczy. – Jeśli ty masz być kandydatem na prezydenta, to papieżem powinno zostać pierwsze kolano erpe.

Nikt się nie roześmiał.

PRZEMYSŁAW CÍWKLIŃSKI

JOANNA SENYSZYN
znowu chce gadać
o polityce. **AGNIESZKA**
WÓLK-ŁANIEWSKA
woli pogadać
o czirliderkach.

Senyszyn: – Jakich znowu czirliderkach?

Wólk-Łaniewska: – Amerykańskich. Od Pastuchów z Dallas...

– **A co cię to obchodzi, na miłość boga nieistniejącego?**

– A bo wróciłam z urlopu i nie mogłam spać, więc oglądałam telewizję po nocy. To pewnie przez zmianę czasu...

– **Zaraz, zaraz, a gdzie ty byłaś?**

– W Tunezji.

– **Przecież to tylko godzina różnicy.**

– Ale to bardzo ważna godzina. Mniejsza o to, przechodzę do meritum. Otóż na Netflixie święci teraz triumfy nowy serial dokumentalny, zatytułowany „America’s Sweethearts: Dallas Cowboys Cheerleaders”. Opowiada o laskach, które tańczą w przerwach meczów...

– **Powtórzę: a co cię to obchodzi?**

– A bo ja bardzo lubię wszystko, co pokazuje kurewstwo Ameryki. A to amerykańskie kurewstwo w czystej formie. Słuchaj: Dallas Cowboys to najwyższej wyceniana drużyna futbolu amerykańskiego na świecie, warta 9,2 miliarda dolarów, gdzie czołowi zawodnicy dostają po 50 milionów rocznie. A panny, które tańczą w przerwach, co ponoć jest straszną atrakcją, zarabiają jakieś 15–20 tysięcy.

– **Za występ?**

– No coś ty, za sezon. Dostają 12 dolarów za godzinę treningu i 400 dolarów za mecz. Większość traktuje te mordercze treningi i występy jako dodatkową pracę, bo nie da się za to utrzymać w Dallas. 15 tysięcy to granica ubóstwa, z którą w USA, jak wiadomo, nie przesadzają. A Charlotte Jones, dziedziczka Dallas Cowboys, pytania na ten temat kwituje z niesmakiem: „Jest wiele cynizmu wokół plac cheerleaderek”, a tymczasem one „nie przychodzą tu dla pieniędzy, chodzi o bycie częścią czegoś większego niż one same, chodzi o siostrzeństwo, o relacje, które zostają im do końca życia”...

– **A nie zostają?**

– Do końca życia to im zostaje kalectwo. Bo jak się po parę razy każdego wieczoru robi szpagat z wysokości, to potem potrzeb-

Dialogi dam,
z których obie żyją

ne są nowe stawy biodrowe. Jak wyjaśnia pogodnie jedna z emerytek: „miałam 12 operacji ortopedycznych w ciągu ostatnich sześciu lat”. Ale to nie koniec moich zachwyceń czirliderkami.

– **Dawaj. Jak musisz.**

– Otóż te biedne odmóżdzone przez amerykańskie wychowanie istoty marzą o wyrwaniu sobie nóg z dupy przez całe dzieciństwo i uważają, że to wielki zaszczyt. Więc walczą o to jak lwice i kilkadziesiąt panien ubiega się o 36 miejsc, bo na tyle jest rozpisany układ taneczny. A Charlotte nie przychodzi do głowy, żeby przyjąć 72 tancerki, żeby były dwa składy i dziewczyny nie musiały wyrwać sobie tych nóg każdego dnia przez 21 dni w sezonie świątecznym. Bo po co, skoro to nie jej nóżki.

– **Skończyłaś już?**

– Ależ skąd, jeszcze o Jezusie ci opowiem.

– **Może wreszcie coś interesującego...**

– Otóż one wszystkie, bez przerwy, gadają o Jezusie. Że Bóg je tam posłał, więc nie mogą piodolnąć tą robotą, bo to byłby grzech. Najbardziej mi się podoba taka jedna, która opowiada słodkim głosem, że się modli, żeby ktokolwiek, kto ją ogląda, widział nie ją, tylko Jezusa... Widzisz to: Jezus z gołym brzuchem w szortach i kowbojkach robi szpagat z wysokości

– **Dla wierzących to byłaby chyba miła odmiana, gdyby się ukazał nie na brudnej**

szybie albo drzewie, ale na bujnej piersi czirliderki... Swoją drogą, dlaczego Jezus, a nie Matka Boska?

– Bo to ewangelikanki są. Ich dewocja jest niemaryjna.

– **To mi przypomina nasze młodziutkie gimnastyczki, w zasadzie dzieci, które w styczniu 2018 r., z okazji setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, zostały wrobione w występ przed dwoma Dudami, prezydentem i szefem Solidarności, oraz bp. Dworczykiem i pomniejszych pisowcami. Pamiętam kretyńsko-obłeśne miny władców Polski, kiedy małe dziewczynki wiły się u ich stóp, pokazując niewymowne części ciała, bo tak bez wyobraźni był zorganizowany ich występ.**

– Zawsze to lepiej niż uczniowie zlizujący bitą śmietaną z kolan księdza katechety.

– **To była polska nauka religii w praktyce. A Amerykanki mają naukę kapitalistycznej ekonomii. Jak jest tyle amateerek na czirliderską nędzę i kalectwo, to oczywiście przykre, ale nie dziwne, że mało im płacą.**

– Bo związków zawodowych nie mają.

– **To prawie jak u nas. Czy mogę już zmienić temat?**

– Proszę.

– **Wiem, że wybrzeża ci niosę. Jak czarząci w 2023 r. potrzebowali biorące miejsce do sejmu dla Kotuli, to postanowili „utopić” posłankę Maciejewską z Gdańska. Rękami dyrektora jej biura nielegalnie ją nagrywali przez 36 godzin i sfabrykowali taśmy, że niby mobbingowała, robiła jakieś przekręty, łamała prawa pracownicze, unikała płacenia podatków oraz – uważaj – krytykowała władzę partii.**

– Ta zniewaga krwi wymaga, jak się mawiało na podwórku.

– **W każdym razie w polskiej polityce jest to zbrodnia. Teraz prokuratura sprawę umorzyła, uzasadniając, że nagrania były „zmanipulowane, pocięte na części i całkowicie niewiarygodne”.**

– To ta sama Maciejewska, która była szefową gabinetu Biedronia w Słupsku i wiceprzewodniczącą Nowej Lewicy z jego namaszczenia?

– **Ta sama. Ale potem mu się odmieniło. Apel Śmiszka – „znajdźcie na dnie swoich chrześcijańskich serduszek odrobinę szacunku i miłości do bliźniego” – powinien być adresowany nie do „kolegów i koleżanek z PSI”, ale do jego partnera Biedronia. Żeby jako współprzewodniczący tzw. Nowej Lewicy dbał nie tylko o swoją rodzinę i totumfackich.**

– Ale Biedroń nie ma chrześcijańskiego serduszka, to gdzie niby ma szukać? A skoro już jesteśmy przy naszych ulubieńcach z Nowej Lewicy: porwała mnie Anna Maria opowieścią o tym, że „dniem przełomowym” oraz „kamieniem milowym”, a także „czymś wielkim” jest fakt, iż wspólny projekt PO i NL przeszedł przez pierwsze czytanie w komisji.

– **Jasne. A Czarzasty wielkim przywódcą jest.**

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 304

